№ 23. Warszawa, dnia 4 Czerwca (23 Maja) 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

PRAWO PRZECIW CUDZOZIEMCOM.

I.

Trudno się zgodzić zarówno z *Czasem*, jak z *Rus. Kurierem* na to, że ostatni ukaz, ograniczający prawa cudzoziemców do nabywania własności w Królestwie Polskiem i guberniach zachodnich Cesarstwa, był „odpowiedzią" na znaną ustawę wygnańczą i kolonizacyjną Prus. Oba akty mają wspólną jedynie zasadę uszczuplania swobody stosunków międzynarodowych w interesie państwa, po za tem istotą swoją różnią się widocznie. Przedewszystkiem ostrze rozporządzeń pruskich zwrócono niemal wyłącznie przeciwko polakom, ukaz rosyjski zaś obejmuje wogóle cudzoziemców. Powtóre tam wypędzono z kraju nawet uprawnionych obywateli „obcego pochodzenia," stosując rygor prześladowczy wstecz w ich rodowodach; tu nikogo nie wypędzono, zmieniono tylko wolność kupowania majątków nieruchomych w przyszłości. Dość zważyć samą władzę policyi pruskiej nagłego odrywania spokojnych ludzi od pracy, rujnowania całego ich bytu i rozganiania na wszystkie strony świata, ażeby należycie pojąć różnicę surowości. To też kiedy z Niemiec w ciągu paru miesięcy musiało pójść na tułaczkę przeszło 30,000 ludzi, z Rosyi wyemigruje co najwyżej jakaś setka zaniepokojonych. Wnosząc z głosów prasy niemieckiej, jej rodacy u nas osiedli nie bardzo są zatrwożeni. Pocieszają się bowiem nadzieją wynalezienia sposobów „obejścia prawa" zapomocą zastawów, podstawień, pozornej sprzedaży i kupna, a zresztą mają znaną i wypróbowaną na takie dolegliwości receptę w „poddaństwie podwójnem."

Nastręcza się więc poważne pytanie, czy nowy środek, mający oczyścić zachodnie krawędzie państwa od „cudzoziemców," będzie skutecznym wobec tych sposobów i recept, popieranych całą potęgą *Vaterlandu*, oraz czy i ten wiatr najbiedniejszym jedynie w oczy nie zawieje? Ponieważ ukaz ogranicza również prawa dziedziczenia, skutkiem zaś związków rodzinnych polacy z Prus i Austryi są naturalnymi spadkobiercami majątków tutejszych, zapanowała więc między nimi usprawiedliwiona obawa. Trudno taić, że liczne straty będą tu nieuniknione a nadzieja uzyskania przywilejów i wyłączeń zostanie pobożnem życzeniem. Pod tym względem *Dniew. warsz.* daje wszelkim złudzeniom stanowczą odprawę. Upomina on polaków Rosyi, ażeby pilnowali swoich interesów najbliższych, nie tonęli w tylokrotnie potarganych marzeniach, a w ukazie widzieli dla siebie korzyść.

Ale zamknąwszy się nawet w obrębie tych interesów miejscowych, trudno ściśle obliczyć następstwa prawa. W rachunku bowiem prawdopodobieństwa są dwie bardzo ważne niewiadome: ekonomiczna zdolność sił swojskich do zadośćuczynienia potrzebom kraju od tak dawna pod obcym wpływem zostających oraz ścisłość w przeprowadzeniu ustawy. Pierwsza kwestya nasuwa mnóstwo wątpliwości w doświadczeniu jeszcze nierozstrzygniętych, druga natomiast przedstawia z praktyki wiele dowodów przekonywających, że ironiczny uśmiech niemców ma swoje uzasadnienie. Sypano im już nieraz groble i tamy, a oni jednak umieli przesiąknąć lub przedrzeć się tam, gdzie widzieli dla siebie korzyść. Więc może i teraz niedaremną jest ich przechwałka, że zdolają „obejść" Termopile i Efialtesów znajdą.

Po tych dwu niewiadomych niektóre gazety przesunęły się lekką myślą i nie uwzględniając wcale wielkiej złożoności i powikłania stosunków, którym ukaz nadał inne normy, śmiało sypnęły proroctwami. Co do nas, nie sądzimy, ażeby materyał do nieomylnej wróżby był wystarczający. Stoimy wobec prób państwowych świeżych, więc zagadkowych; widzimy tylko dalsze rozsnuwanie tej idei, którą podjął ks. Bismark i która zrywa dawne nici cywilizacyjne. Bo w tym punkcie istotnie — chociaż nie jako „odpowiedź" — spotyka się istotnie polityka niemiecka z rosyjską. Mianowicie w obu wypadkach chodzi o oczyszczenie państwa z żywiołów obcych, o nadanie mu możliwej jednolitości. Jest to po części system ochronny, a po części system walki. Kanclerz niemiecki rzucił w łono Europy ideę samolubstwa państwowego i nienawiści międzynarodowej, rozebrał z wszelkich uczuciowych osłonek i postawił nago zasadę, że polityka rozumna nie powinna być ludzką, sentymentalną, omotaną pajęczynami humanizmu, lecz egoistyczną, zimną, z „przesądów" cywilizacyjnych wyzwoloną, jedynie zyski materyalne własnego narodu szanującą. Chociaż nie każdy mąż stanu jest takim „realistą," każdy musi się dostrajać do wymagań siły, z którą się liczy. Jak Niemcy swoim militaryzmem uzbroiły całą Europę, tak również pobudziły ją do szeregu naśladownictw polityczno-społecznych. Bezczelność ich prasy, wychwalającej najdziksze okrucieństwo u siebie, a witającej oburzeniem surowość cudzą, przechodzi wszel-

kie granice. Oni, mistrze praw wyjątkowych, prześladowań narodowości, edyktów wygnańczych, gwałtów moralnych, oni, twórcy tortur państwowych, biją na gwałt we wszystkie dzwony „kultury,“ gdy przeciwko nim zwróci się jakikolwiek szaniec. Nie widzą, że „Halb-Asien“ przesuwa się coraz bardziej ku środkowi Europy, ku ogniskom tej osławionej „kultury.“

Zamykając dotkniętą wyżej sprawę wnioskiem ogólnym, powiemy, że nowe prawo, ograniczające cudzoziemców w nabywaniu własności ziemskiej, ujawnia swą dążność polityczną; co zaś do jego następstw ekonomicznych — te dziś obliczyć się jeszcze nie dadzą, wywołane więc przezeń nadzieje i obawy są przedwczesne.

ZE SZCZEREGO SERCA.

Chorwacki korespondent gazety *Russkoje Dieło* przesłał temu pismu poglądy swoje na patryotyzm słowian austryackich. Podług owego „Kroaty Katolika“ (tak się bowiem podpisał na liście), słowianie austryaccy uważają Austryę tylko za *malum necessarium*; a jednak pod warunkiem równouprawnienia z niemcami i madziarami gotowi są bić się z wszelkim jej wrogiem, w tej liczbie i Rosyą, zwłaszcza że nie wiedzą, czy Rosya życzyłaby sobie coś dla nich zrobić... Słowianie walczyć będą o swoje prawa w Austryi, jeżeli im nie zabezpieczy ktoś czegoś lepszego; nim co będzie, pozostają austryackimi patryotami nie dla Austryi, jak wielu mniema w Rosyi, lecz dla samych siebie.

Ciekawe te wynurzenia posłużyły oczywiście publicystyce rosyjskiej do uwag nader zajmujących. Między innemi *Nowoje Wremia* wywołało na światło dzienne drzemiącą w cieniu od pewnego czasu kwestyę panslawizmu. Z jakiej przyczyny ta „kwestya“ zasnęła? Ha, cóż miała robić lepszego wobec drażliwości nietylko już niemców pruskich i austryackich, ale nawet — co dziwna — samychże słowian! „Czyliż nie ma gruntu dla sprawy ogólno-słowiańskiej po takich np. Kollara pracach i po całym szeregu prac słowianofilów rosyjskich!“ — woła zgorszone *Nowoje Wremia.* Zwrot ten mógłby kogoś naprowadzać na myśl, że szanowna gazeta pragnie słowianofilstwo krzewić z akademickiego stanowiska. Tak jednakże nie jest. Wnet bowiem przechodzi na grunt praktyczny i poczuwa się do obowiązku przesłać zaniepokojonym słowianom cały szereg zapewnień, usuwających wszelkie obawy. „Nie ma mowy o zniwelowaniu jakichś plemiennych właściwości, o skazywaniu na wymieranie miejscowych odrębności... Korespondent chorwacki stawia — obyczajem prasy polskiej — jedną kwestyę zamiast drugiej: polityczną, drobną, złudną autonomię zamiast udziału w utworzeniu wielkiego ideału słowiańskiego, który w swem ostatecznem, praktycznem urzeczywistnieniu nie może być przeciwnikiem wewnętrznej swobody plemion słowiańskich, jak też dowodzili nasi pisarze słowianofilscy... Zjednoczenie słowiańskie, przygotowane w sposób należyty w dziedzinie duchowej, w dziedzinie języka i piśmiennictwa, nie może być wrogiem dla życia miejscowych narzeczy i narodowości już przez samą niemożliwość fizyczną i bezcelowość trzymania ogromnych ludności pod jakąś dyktaturą wojskową. Autonomia oczywiście pogwałconą nie będzie przez wytworzenie jedności duchowo-literackiej, w której składzie mocniejsze żywioły obwodowe same utorują sobie drogę...“

Czy powyższe zapewnienia, z taką obfitością słowa rzucone przez *Nowoje Wremia,* ukoją stroskanego chorwata, który jak gdyby i chciał i obawiał się wpaść w ocean słowiański; czy przyrzekana „jedność duchowo-literacka“ wyda mu się „czemś lepszem od politycznej, drobnej, złudnej autonomii“— na to odpowiedzieć trudno. Ale zdaje się być pewnem, że niektóre ustępy mogą mu się wydawać mglistymi, niejasnymi. Tak np. nie zdziwilibyśmy się, gdyby mu się nasunęły znaki zapytania, gdy *Nowoje Wremia* mówi, że zjednoczenie słowiańskie, *przygotowane w sposób należyty*, nie może być wrogiem dla życia miejscowych narzeczy, że ideał słowiański w swem *ostatecznem*, praktycznem urzeczywistnieniu nie może być przeciwnikiem wewnętrznej swobody plemion słowiańskich, nareszcie, że w jedności duchowo-literackiej *mocniejsze* żywioły obwodowe same utorują sobie drogę. „A co z nami będzie, zanim należyte przygotowanie nastąpi, zanim ostateczne urzeczywistnienie ideału zaświta? i czy my należymy do tych mocniejszych żywiołów obwodowych, które sobie same w jedności torować będą drogę?“ — mógłby zapytać frasobliwy chorwata.

Wszystkie te pytania jednak byłyby tylko dowodem jego niecierpliwości. Gazeta w jednym artykule nie jest w stanie wypowiedzieć całkowitej swej myśli w kwestyi rozległej, doniosłej, głębokiej. Pojedyncze artykuły należy rozpatrywać i nizać jak perły i z całego naszyjnika dopiero sądzić o robotniku, który je odszukał, utoczył, do jednego zsypał skarbca.

Taką perłą jest rozprawa tegoż pisma o projektowanym dla Królestwa banku włościańskim. Organ p. Suworina radby w nim widzieć „instytucyę polityczną doniosłego znaczenia.“ Bank powinien zająć się poprostu przesiedleniem do Królestwa „włościan z gubernij środkowych.“ Wprawdzie, powiada *Nowoje Wremia,* włościanie rosyjscy niechętnie udają się na zachód, lecz „niewiele kosztowałoby trudu, aby ująć w ręce ów ruch i skierować go tam, gdzie przesiedleńcy mogliby przynieść państwu największą korzyść. Gdyby bank nie zechciał iść tą drogą, to cel jego byłby chybiony, bo „zamożnym“ włościanom „kraju nadwiślańskiego“ pomagać nie ma potrzeby. Lecz *Nowoje Wremia* nie wątpi, że choćby nawet wadliwie pomyślana w zasadzie rzecz da się naprawić, że wskazówki jego trafią do Rady państwa, i cel przez gazetę rzeczona wskazany zajmie odpowiednie miejsce.

Nowoje Wremia staje się rzecznikiem słowianofilstwa. Głosi z zapałem, że ideał ten nie może być wrogiem zachowania pierwiastków miejscowych. Jednocześnie pojmuje, że najbardziej zachowawczym żywiołem jest lud wiejski, który uszanować, zachować należy. Więc całkiem logicznie gwoli tej zachowawczości radzi nie uwzględniać chłopów naszych, natomiast rozsyłać włościan z gubernij środkowych na krawędzie państwa, nie bacząc na to, że w tych guberniach środkowych nie ma ludności w nadmiarze, że tameczne stosunki ekonomiczne mogłyby ucierpieć skutkiem wysiedlania, co więcej, że kolonizowanie takie jest wymysłem zgniłego zachodu, że zdrowy instynkt chłopa rosyjskiego cofa się przed podobnemi próbami, że nareszcie Słowiańszczyzna, która dopiero ma urzeczywistnić ideał słowianofilów, rozległa jest i niezbyt zaludniona; gdyby zatem ideał ów urzeczywistnił się szybko i gdyby rada przez *Nowoje Wremia* podawana została podniesiona do godności zasady ogólnej, to wypadłoby chyba środkowe gubernie dla braku mieszkańców obrócić na bardzo ładny park angielski.

---

3)

ZŁOCZYŃCA.

(SZKIC).

Długo dumał Rydel, roztrząsając swe pytania, nareszcie zerwał się z łóżka i szarpnął za rękę śpiącego.

— Wstawaj, już dnieje!

Wasil drgnął, ocucił się w jednej chwili, usiadł i z zadziwieniem spojrzał dokoła. Powiódł rękami, jakby chcąc przekonać się, czy nie są skrępowane, wstał, wyjrzał za drzwi i uspokojony rzekł:

— Jakże mocno usnąłem, dawno tak nie spałem.

— Nie mów głośno — szepnął Rydel — bo stróż wrócił, już śpi podobno, lecz może się zbudzić.

Wasil zerknął niedowierzająco na pisarza.

— Czy nie wydałeś mnie?— zapytał z pogróżką.

— Gdybym wydał, byłbyś związany i nie rozmawiałbyś ze mną.

— Bałeś się — rzekł Wasil.

— Pijanego, bezwładnego nikt się nie boi — odparł Rydel.

— Jabym cię trzeźwy odszukał!

— Nie znalazłbyś. Gdyby cię pojmano, najprędzej byś umknął chyba za rok, bo takich ptaszków dobrze strzegą, a za rok nie znalazłbyś już mnie.

— Pod ziemią bym cię odszukał!

— Chyba pod ziemią — rzekł z pobłażliwym uśmiechem Rydel — bo jestem suchotnikiem i zostało mi najwięcej kilka miesięcy życia, a może dni kilka. Więc widzisz, że nikogo na świecie się nie lękam, a tembardziej ciebie. Gdybyś mnie zabił dziś, zrobiłbyś usługę, bo śmierci oczekuję codzień i doczekać nie mogę.

Wasil, patrząc ze zdziwieniem na niego, odgadł, że mówi prawdę; więc targnął się w tył, bo mu się zdawało, że śpi, że jeszcze nie ocknął się.

— Czy wiesz, kto jestem? — zapytał.

— Wiem, wczoraj przyszedł papier, uwiadamiający o twej nowej ucieczce; zresztą sam mówiłeś.

— Czemuż nie wydałeś mnie?

— Czemu?.. Nie wiem. Myślałem przedtem, że natura stworzyła tylko tygrysów dla krwi i mordu, a ludzi dla dobra i zła... Więc i ty możesz jeszcze czynić dobrze.

— Ja?

— Ty!

Wasil pierwszy raz od urodzenia szeroko otworzył oczy. Rydel patrzał na niego łagodnie i poważnie, zupełnie tak samo, jak wczoraj; lecz złoczyńcy w tej chwili się zdawało, że ten mały, chudy człowieczek wie jakieś magiczne słowo, że skoro je wyrzeknie, on, Wasil, ocknie się z letargu, upiory mordów pierzchną i wróci radosny, wolny na Podole, będzie śpiewał na cały głos, niech wszyscy słyszą, bo pocoż ma się skrywać?..

Złudzenie krótko trwało. Opamiętał się i gniewnie splunął.

— Czy miałeś choć jednego przyjaciela? — zapytał Rydel.

— Miałem... starego Warnaka; z nim pierwszy raz umknąłem z katorgi. Myślałem wówczas, że dojdę aż do Podola — nie udało się.

— Nie doszedłeś?

— Nie.

— Złowili cię?

Przestępca milczał.

— Cóż dalej? Za co podpaliłeś Krzywą wieś i wymordowałeś całą rodzinę?

Wasil błysnął wilczą źrenicą.

— A tobie co do tego! Czy ty sędzia jakiś?

— Nie sędzia, lecz chcę być twoim przyjacielem.

Zbrodniarz podjął ze zdumieniem głowę, chwilę jakby nie dowierzał, lub się namyślał, poczem rzekł:

— Wszystko mi jedno...

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dla jednych smutnym, dla drugich wesołym był widok tego dłuższego poszukiwania amatorów rządzenia Francyą. Ludzie najambitniejsi, rozważywszy przyjemności i gorycze władzy, uciekali od tek ministeryalnych, które Grévy wszystkim rozdawał. Jak ciężkie są warunki działania w Rzeczypospolitej dla wszelkiego gabinetu, przekonywa ta niechęć, której przemódz nie zdołał cały urok stanowisk naczelnych. Ale wreszcie znalazł się człowiek odważny, Rouvier, który utworzył ministerium z żywiołów umiarkowanych. I temu rządowi, jak wielu poprzednim, odśpiewano nad kolebką hymn pogrzebowy. Zwłaszcza radykalni, którzy stracili swych przedstawicieli, wróżą mu śmierć rychłą i na rachunek tego znowu urządzili manifestacyę, okrzykując swego ulubieńca Boulangera. Bo na nim w końcu zahaczyła się główna trudność. Z miłością jego wielbicieli roznamiętniała się równomiernie nienawiść przeciwników, którzy szepnęli nawet kilka posądzeń, wyzyskiwanych dziś skwapliwie przez prasę niemiecką. Tak np. były minister wojny miał podobno nadużyć powierzonych mu funduszów na opłacanie dla siebie reklam w gazetach. Ks. Bismark, który zwykł nietylko bić, ale dobijać powalonych, widocznie przyspieszył osądzenie sprawy niejakiego Koechlina, oskarżonego o zdradę stanu, u którego znaleziono „bardzo kompromitujące listy Boulangera.“ Wogóle bądźmy przygotowani na to, że kanclerz niemiecki nie oszczędzi żadnej sposobności, żadnego środka, ażeby tego wroga „uczynić niemożliwym“ w rządzie. Jednocześnie z pośpiechem przygotowywa się proces przeciw innemu zdrajcy, Cabannesowi, który ma rzucić „wiele światła“ na aresztowanie Schnebelego. Grę tę popsuło do pewnego stopnia *Now. Wremia*, które nakreśliło obszerny obraz organizacyi szpiegowskiej niemców w całej Europie. System ten ma swojemi rozgałęzieniami sięgać we wszystkie sfery społeczeństw i posiadać doskonale wytresowane organy.

Rozpoczęta przez *Nord. Alg. Ztg* epoka „odkryć“ nie przestaje dotąd rodzić coraz nowych owoców. Nawet sekretarz Akademii muzycznej w Peszcie, ogłasza dowody piśmienne, przekonywające, że ks. Bismark w r. 1870 zlecił Wagnerowi pozyskanie króla bawarskiego dla Prus, czego też autor *Lohengrina* pomyślnie dokonał. „Największy człowiek naszych czasów“ chory — może z gniewu na te „odkrycia“ i wyznania — po warszawsku „rewelacye“ lub „enuncyacye“?

Niezwykły rozmiar, oraz długie trwanie rozruchów robotniczych w Belgii, zwłaszcza po niedawnym ich wybuchu mogłoby nasunąć myśl, że tam istotnie dojrzała rewolucya społeczna, która już stłumić się nie da. Kto jednak zna ustrój tego kraju i śledzi uważnie przebieg burzy, widzi jasno, że tam nie chodzi o urzeczywistnienie ideałów socyalizmu, ale o zdobycie praw politycznych, zwłaszcza zaś praw głosowania powszechnego, którego klasom niższym dotąd nie przyznano. Że walka zakończy się ich zwycięztwem — o tem wątpić trudno.

Leon XIII „i chciałby i boi się“ przyznać, że chciałby wyjść ze swego „więzienia“ i pogodzić się z rządem włoskim. W swej ostatniej przemowie wspomniał on ogólnikowo o tej chęci, ale gdy gazety wywnioskowały, że zrzeka się władzy świeckiej, dziennik Watykanu *Osservatore romano* zaprzeczył tej herezyi. Mimo to bez okularów widzieć można, że ona papieża opanowała. Pragnąłby on, ażeby mu przyznano bodaj kawałek ziemi, bodaj „języczek do Tybru,“ bodaj tyle, ile posiada ks. Monaco, ażeby tylko było na czem oprzeć „władzę świecką.“

Porta otrzymała na swój okólnik w sprawie bułgarskiej taką odpowiedź, jaką powinna była przewidywać, mianowicie wszystkie mocarstwa oświadczyły, że podzielają jej życzenia i wedle możności je uwzględnią, Rosya zaś powtórzyła dawne swoje zapewnienie, że z obecną regencyą w żadne układy nie wejdzie.

Czy w pałacu sułtana wyostrzono znowu nożyce, czy uknuto mniej groźny spisek, dość, że wielu dostojników tureckich, a między nimi Osmana paszę wysłano do Mekki, ażeby tam ich prorok natchnął lepszemi myślami.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Paryż, 20 maja.

(Dokończenie).

Polityczny program radykałów (sans phrase) z rady miejskiej ogranicza się dziś do autonomii i związanych z nią żądań. Program ten uzupełnia się zresztą znanemi wymaganiami francuskiej partyi radykalnej w stosunku jej do kościoła, sprawy podatkowej i reform społecznych. Społeczny swój zresztą program radykalni rajcowie czerpią, mniej lub więcej umiarkowanie i oględnie, w każdym zaś razie stopniowo i seryami, z programu partyi socyalistycznej, z jej mianowicie umiarkowanego odcienia, znanego pod nazwą „posybilistów.“ Posybiliści w zamian przyjmują także program autonomiczny i dalej go nawet rozwijają.

Posybiliści są najliczniejszą partyą socyalistyczną we Francyi i w Paryżu. W radzie paryskiej mają obecnie 9 przedstawicieli. W zasadzie i dalej idących żądaniach uważają się oni, równie jak i odcienie skrajniejsze, za socyalistów - rewolucyonistów, dążących do kolektywistycznego ustroju — na dziś jednak i w życiu parlamentarnem stoją na gruncie rozwoju, domagając się przedewszystkiem reform obecnie „możliwych“ (possibles), stąd ich nazwa. Urzędownie mianują się „la Fédération des travailleurs socialistes de France,“ lub krócej „Parti ouvrier.“ Stronnictwo to opiera się na syndykatach zawodowych, które z małoznaczącymi wyjątkami przyjmują jego program. Organem wyborczym dla stolicy jest „Comité électoral central de l'Union fédérative des chambres syndicales de France.“

Tak zwany minimalny program „partyi robotniczej“ względem Paryża obejmuje naprzód jaknajszerzej pojętą autonomię gminy; następnie — przejście na jej rzecz instytucyj, mających charakter służby publicznej, jak tramwaje; do tej kategoryi włączane są także piekarnie — czego domagano się niedawno z powodu drożyzny chleba, monopolizowanej przez piekarzy, nieproporcyonalnie do cen mąki; tu także należy projektowany podatek od mieszkań nienajętych, gwoli zmuszenia właścicieli do zniżenia czynszu mieszkalnego itp. Projektują także zniesienie wszelkich podatków i opłat gminnych dziś istniejących i zaprowadzenie na to miejsce jednego podatku dochodowego. W zakresie stosunków ekonomicznych domagają się uwzględnienia syndykatów robotniczych przy oddawaniu robót miejskich, procentowego ograniczenia cudzoziemców przy tych robotach, oraz określonego normowania płacy przy robotach miejskich, co już dziś częściowo istnieje. Z łona partyi wyszła także myśl urządzenia giełdy pracy na miejsce biur stręczeń, co zaprowa-

---

Rydel snać nie widział jego ruchu, lub nie słyszał słów, bo znowu pytał.

— Więc jakże to było?

Wasil mruknął niecierpliwie.

— Jak było! Psy i ludzie rzucili się na mnie, wydali mię; lecz po co ci to?.. Ha! już świtało, muszę iść.

To mówiąc wysunął się do przyległego pokoju; Rydel wyszedł za nim.

— Nie spiesz się — rzekł spokojnie — nie myśl, żem posłał kogoś z uwiadomieniem... Miałem całą noc na to... powiedz mi lepiej, czy chcesz być moim przyjacielem?

Wasil podejrzliwie spojrzał.

— Chcesz zemścić się nad kimś? — zapytał — chcesz, bym kogo zabił?

— Nie, owszem chciałbym, żebyś tym, co ci zrobią źle, nie odpłacał złem — już to będzie dobrem; a jeżeli potrafisz zrobić coś więcej — szczęść ci Boże!..

Wasil coś mruknął i ujął klamkę.

— Jeszcze słowo—szepnął Rydel ze drżeniem w głosie — jeżeli ci się uda wrócić na Podole; jeżeli będziesz przechodził przez Worskłę; jeżeli ujrzysz mały dworek nad brzegiem, a w nim dwoje staruszków — powiedz im... — tu głos mówiącego urwał się, głowa na piers zwisła i dokończył szeptem— nic im nie mów.

Wasil odskoczył od drzwi.

— Czyś stamtąd? Czy także zabiłeś kogoś? Dlaczego jesteś na Syberyi?..

— Stamtąd jestem — odrzekł z zadumą Rydel — lecz nie zabiłem nikogo... Chciałem, by świat był lepszym... Idź już... Nie zrozumiesz. Weź oto zawiniątko z chlebem — idź.

Wasil ociągał się teraz... Jeszcze by choć chwilę pogwarzyć; lecz przez szczeliny okienic wdzierało się poranne światło; wziął tedy zawiniątko i szepnął pospiesznie:

— Dziękuję... Pójdę do do puszczy, przesiedzę parę tygodni, niech zapomną o mnie, a wtedy dojdę aż do Podola.

Wybiegł, obejrzał się naokoło i podążył do lasu.

Gdy po kilku minutach Rydel wyszedł i spojrzał w stronę puszczy — Wasila już nie było.

IV.

Dumne są lasy Syberyi! Ich głębi nie deptała stopa ludzka, nie słyszano tam dźwięku topora, są grzęzawice, dokąd latem i niedźwiedź nie zajrzy.

Drzewa tam nie drżą, nie trwożą się, by podsłuchano ich rozmowy: staruszkowie tedy swobodnie gwarzą o wiekowych dziejach, a młodzież, poufnie tuląc się u ich stóp, nabiera szmerem swój zachwyt wyraża.

Niekiedy zwinna wiewiórka zaszeleści w gałęziach, niekiedy rosomak przemknie po kępach — i znów cisza.

—o—

Pierwsze wiosenne promyki zaglądały ciekawie do głębiny lasów i zgarniając z ziemi zaspy śniegu, starały się dotrzeć do lodowej powłoki gruntu, zniszczyć ją, obudzić ziemię z letargu do życia.

Drzewa, widząc przybliżających się ku nim przyjaznych gości — wiatry stepowe — radośnie je witały ruchami głów; ostatki szronu, padając płachtami z gałęzi na ziemię, nikły pod wzrokiem słońca.

Niedźwiedź, zbudzony z zimowego snu, ziewnął, podjął głowę i słuchał... Zdawało się mu, że słyszy czyjeś kroki... Ktoby to mógł być?.. Wilk stąpa lżej, niedźwiedź poważniej — chyba człowiek... Skądby?

A jednak był to człowiek. Szedł ostrożnie, oglądał się, snać rozumiał, że zabrnął za głęboko do puszczy i łatwo może się spotkać z kudłatym *miszką*... Nagle stanął jak wryty: człowiek dojrzał zwierzę, zwierzę człowieka; obaj zmierzyli się wzrokiem. Pierwszy odgadł, że przed nim nie dobroduszny *bartnik*, lecz czarny mieszkaniec Sybiru, więc jako syn ziemi, co go wydała, ogromny i surowy. Niedźwiedź zaś, patrząc na człowieka zdumiał się i pomyślał, że to

dzone zostało przed kilku miesiącami. W wychowaniu rada domaga się oświaty całkowitej, ogólnej i zawodowej, szkolnych batalionów wojskowych itp. Niektóre z tych reform są już zaprowadzone, inne zamierzone; do tych ostatnich należy oddzielenie kościoła od gminy. Radykalni nie występują bynajmniej przeciwko tym minimalnym żądaniom, co najwyżej wstrzymują się przy niektórych pozycyach od głosowania — odgrywają, słowem, wobec partyi robotniczej tę rolę, jaką wobec nich odegrywają oportuniści. Radykalni przytem, którzy zbliżają się do wymagań robotniczych, przybierają w swej nazwie wyraz „socialiste,“ nie wliczając się mimo to do szeregów socyalistycznych.

Dwóch obecnie rajców miejskich należy do partyi „blanquistów“ — w radzie poprzedniej zasiadał tylko jeden przedstawiciel tego socyalistycznego odcienia. Blanquiści wyróżniają się odrębną swą organizacyą, oraz bardziej ujawnioną rewolucyjnością. Występują oni często zgodnie z partyą kolektywistów, która bierze udział w agitacyi wyborczej, dotąd jednak nie przeprowadziła żadnego ze swych kandydatów. Przy wyborach poprzednich mieli oni tylko 3,533 głosów — obecnie, przy pierwszem głosowaniu pozyskali 15,806 głosów. Kolektywiści, zwani także „quesdystami,“ od imienia jednego z jej przywódców. Partya ta, jako bardziej skrajna, oddzieliła się od robotniczej, miała jednak większość delegatów po swojej stronie na kongresie robotniczym francuskim, który się odbył w Marsylii 1879 r. Rozłam nastąpił na kongresach późniejszych. Nosi ona nazwę „Union socialiste révolutionaire.“ Istnieje jeszcze w Paryżu odrębna grupa rewolucyjna „niezawisłych,“ której organem pismo *l'Insurgé* — przy wyborach jednak osobno nie występowała. Do grup rewolucyjnych paryskich zaliczają się jeszcze anarchiści, mający swe koła i związki — ci jednak z zasady w wyborach udziału nie biorą; starają się tylko, gdzie mogą przeszkadzać im, a nawet pustoszyć biura wyborcze i rozbijać urny z głosami. Podobnej taktyki trzymają się i na zebraniach publicznych radykalnych i socyalistycznych, gdzie starają się opanowywać biura, często wstępnym bojem, krzykiem zaś i różnemi psotami uniemożliwić posiedzenia.

E. Przew.

LISTY ZE WSI.

V.

Skoro w danej chwili stan ziemiański potrafił wziąć rozbrat z wieloma wadami, charakteryzującemi od wieków szlachtę polską; skoro marnotrawstwo zastąpiła oszczędność, próżniactwo praca, a próżność skromne przystosowanie się do położenia — stanowi to pocieszający dowód, że stan ten nie jest wyzuty ze wszystkich cnót obywatelskich, o co go wielu posądza. Czy ta reforma obyczajów wypłynęła z obawy o zagrożone jutro, czy kierowały nią pobudki głębszej natury, obejmujące widnokrąg dalszej przyszłości, nie jest to kwestyą pierwszorzędnego znaczenia. Zawsze liczyć się możemy z faktem, że w danej chwili, szlachta polska potrafiła się otrząsnąć z hulaszczych nawyknień, z życia nad stan, by zreformować obyczaje i nagiąć się do twardych warunków.

Na gruncie takiej przemiany można już budować zrąb gmachu, bo posiadamy materyały, brak nam tylko architekta.

Architektem tym winien być sam stan ziemiański, posiłkowany życzliwem poparciem całego myślącego ogółu.

Najspieszniej jednak starać się potrzeba o usunięcie złych i fałszywych robotników, którzy acz nieproszeni, gwałtem cisną się do budowy. Złymi robotnikami są kierownicy prasy konserwatywnej, którzy bielmo na oczy narodu nałożywszy, karmią go strawą niezdrową i utworzywszy świątobliwe towarzystwo wzajemnej adoracyi, palą wonne kadzidła na rzecz „najzacniejszych ziemian.“

Widok to tem przykrzejszy, że *jedyną* pobudką tej gorliwej obrony, jest polowanie na czytelników, chęć nie zrażania ich przykrą niekiedy uwagą. Każdy z tych panów, zapytany w cztery oczy, wygadywać będzie na szlachtę najstraszliwsze rzeczy, w zarzutach prześcignie najskrajniejszego „szlachtożercę,“ lecz zasiadłszy za redakcyjnym stołem, wdzięczne uśmiechy zasyła w stronę tych, których w gruncie lekceważy, bo... zjedna mu to od kwartału pięćdziesięciu nowych prenumeratorów.

Nie tak postępuje uczciwa prasa. Broni i bronić powinna przed niesłusznymi zarzutami rzucanymi na stan, którego jest organem, ale widząc rzeczywiste zło, wskaże je, potępi i zachęci do poprawy. Nie zohydza i nie przekręca zasad stronnictwa przeciwnego, lecz słuszności oddając słuszność, z odkrytą przyłbicą zwalcza poglądy, które za szkodliwe dla społeczeństwa uważa. Przytem, jeśli prasa konserwatywna rzeczywiście dla stronnictwa swego chce być pożyteczną, musi z siebie zrzucić ten płaszcz „wielkiej polityki,“ który pokrywa całe kolumny naszych gazet.

W wewnętrznem życiu inteligencyi wiejskiej nic bardziej nie może być pożądanego, jak solidarność, ujawniana najszerszem stosowaniem stowarzyszeń. Niech one wezmą sobie za przedmiot najpodrzędniejszy dział pracy rolnika, już pożytek będzie znaczny, bo skupienie sił, zainteresowanie zbiorowe, mimowiednie prawie rozbudzi ducha łączności, wyrwie z ospałej drzemki, skierowywując uwagę ku czynom użyteczności publicznej. Nie obałamucajmy się myślą, że inicyatywa państwowa, wyjątkowa opieka nad rolnictwem lub pomoc z zewnątrz nas pochodząca, mają być jedynymi środkami ratunku. Pożądanym byłby bardzo taki zasiłek, lecz nie oglądajmy się na niego, bo dobrodziejami i opiekunami ziemiaństwa przedewszystkiem sami tylko ziemianie być mogą.

Reforma edukacyi młodzieży ziemiańskiej jest również rzeczą konieczną. Nie każmy adwokatom, doktorom lub głowom o Midasowych uszach, być kierownikami zawodu, w którym specyalne wykształcenie nieodzownie towarzyszyć winno pracy, oszczędności i rachunkowi.

Praca u podstaw, tak słusznie uważana za najkonieczniejszy obowiązek — w łonie inteligencyi wiejskiej znaleźć powinna najdzielniejszych pionierów. Trudna ona, ale wdzięczna, ale konieczna. Między dworem a chatą musi się wywiązać stosunek zażyłości serdecznej. Dwór nietylko być winien wzorem technicznych udoskonaleń w przedsiębierstwie, lecz przedewszystkiem pionierem cywilizacyi i oświaty. Da mu to siłę i punkt oparcia, zapewni przyszłość. Szematów postępowania dawać nie potrzeba, ma je każdy pod ręką, co więcej, znają je wszyscy, tylko niepojęta ospałość tamuje porywy dobrej woli, o której istnieniu świadczy wrodzona charakterowi słowiańskiemu uczciwość i serdeczność obywatelska.

. . . .

Dobiegam z listami mymi do kresu. Złośliwy Zoił krytyki powie o nich: „to komunał.“ Tak jest, ja sam je tem mianem oznaczę. Prócz odrębnego poglądu, jaki wyrazi-

---

jakieś nieznane mu zwierzę — zresztą z postaci i zarostu podobne trochę do niego.

Gdy minęło pierwsze zdumienie, niedźwiedź, zagniewany, że śmiano wtargnąć do jego siedziby, z głuchem, groźnem mruczeniem powstał na tylne łapy i ruszył na wroga. Straszna broń — ogromne pazury konwulsyjnie drgały, otwarty pysk połyskiwał rzędem kłów. Człowiek stał na miejscu: na dzikiej, nieruchomej twarzy żadne wrażenia się nie odbiły, tylko oko połyskiwało groźniej. Gdy zwierzę zbliżyło się ku niemu o kilka kroków — jednym ruchem wydobył topór z za pasa, a drugim usunął się na stronę za duże drzewo. Niedźwiedź mruknął głośniej i poszedł za zbiegiem; lecz ten okrążył już drzewo i znalazł się z tyłu nieprzyjaciela. Topór świsnął w powietrzu i spadł na głowę zwierzęcia. Niedźwiedź zaryczał i obrócił się. W tej chwili silna broń znowu wzleciała do góry i uderzając ugrzęzła mu w piersi. Krew lunęła — łapy porwały na oślep przedmioty, więc jedna wpiła się w drzewo, druga uchwyciła wroga za ramię... Zapóźno... Ścięgna stężały — niedźwiedź runął.

Człowiek z dzikiem zadowoleniem popatrzył na wroga, nabrał wyschłych gałęzi, ukrzesał ognia, rozpalił stos, poczem, ździerając niedźwiedziowi skórę, odcinał kawały mięsa i rzucał do ognia; gdy zaczynały skwierczeć, rwał napół surowe zębami i żarłocznie połykał. Nasycony, dorzucił gałęzi na ogień, owinął się zdobytem futrem i usnął.

—o—

Wieczorny mrok zakradł się już do lasu, a człowiek spał jeszcze. Zbudził się, zerwał, błędnym wzrokiem powiódł dokoła, zgarnął niedopalone gałązki, rozniecił ogień i przy blasku płomienia rozejrzał się trwożliwie. Kogo się lękał? Chyba zwierzęcia, bo nikt dobrowolnie nie poszedłby do tej otchłani.

Tymczasem noc ciemna pochłonęła las do szczętu; w dali rozlega się raz po raz skomlenie jakiegoś zwierzęcia: może strwożone widokiem ognia, którego od urodzenia nie widziało, może głodne ostrzy zęby, czując zapach szczętów niedźwiedzia, może też pieści zbrodnicze zamiary i względem człowieka?.. Głuche dźwięki rozlegały się po lesie i uderzały posępnem echem. Oparł się plecami o drzewo i spoziera w głąb lasu, tam, gdzie blask płomieni walczy z ciemnią o każdy najdrobniejszy przedmiot. Im bardziej się wpatruje, tem wyraźniej widzi, że walka toczy się zacięta: to odblask usiądzie na jakiejś gałęzi w głębi mroku, to mrok go wyprze napowrót, pędząc za nim niekiedy do samego stosu. Na granicy walki coś się miga — niby karłów i olbrzymów całe szeregi ścierają się. Kształty walczących czasem przeobrażają się z ludzkich w zwierzęce, lub przybierają postacie koszlawe, wygięte... a zawsze straszne, potrząsające olbrzymiemi głowami, grożące z wnętrza ciemni to ruchem ręki, to szponami, to błyskiem oka.

Blask płomienia się zmniejszył; cienie posunęły się bliżej, jęły grozić zuchwalej. Pustelnik zerwał się, dorzucił gałęzi do stosu, usiadł znowu i chcąc uniknąć widm, zmrużył powieki; lecz rozgorączkowana wyobraźnia nie daje odetchnienia, zmienia postacie cieniów na inne... Zapatrzył się na nie, wpadł w odrętwienie — napół czuwał, napół marzył:

Ujrzał się na Podolu; widzi karbowego, słyszy jego słowa: „Poczciwy człowiek musi harować, a zbóje panują.“ Rozcśmiał się szyderczo: ha! panują... Dalej, widzi jar głęboki... moczary... lecz cóż to? Zamiast strasznej postaci panicza, ku niemu sunie się z uśmiechem Rydel i szepcze: „Tygrys stworzony dla krwi, a człowiek dla dobra i zła...“ Ja dla dobra?!.. I samotnik roześmiał się śmiechem dzikim, złośliwym. A jednak nie był to ryk tygrysi! W złości śmiechu czujne ucho Rydla ułowiłoby boleść.

(D. n.)

Brolis.

łem o prasie konserwatywnej, cieszącej się do tej pory wśród sfer odnośnych wielką a niezasłużoną pobłażliwością sądu, wszystkie moje spostrzeżenia niejeden głosił przedemną. Tylko gdy wy panowie powtarzacie je sobie po cichu, gdy wobec przeciwników otaczacie wady i błędy ziemiaństwa czułostkową wyrozumiałością matki, a nawet stroicie w kwiat cnoty, ja wprost, ludziom, którzy z bezwzględną częstokroć stanowczością potępiają inteligencyę wiejską, przedstawiam „za i przeciw“ sprawy, nie obawiam się bronić jej w tem, w czem zasługuje na obronę, ale i nie ukrywam błędów, wiedząc, że przemawiam do rozumnego stronnictwa.

Oto streszczenie poglądów moich: Inteligencya wiejska (nie szlachta) jest czynnikiem działalności społecznej, który utrzymać koniecznie należy i który ma siłę ku temu, bo dał jej już jawne dowody, ale tę siłę do tej pory obracaną na zabezpieczenie osobistego bytu, zwrócić trzeba ku szerszym horyzontom. Wyrabiać solidarność drogą stowarzyszeń, wziąć rozbrat z ospałością kastową, a ogarnąć myślą, czynem i sercem interesy całego kraju, przestać się bawić w arystokratów, bo z zasad i usposobień jesteśmy demokratami, nie wierzyć w hymny wielbiące nasze cnoty, któremi nas darzy prasa konserwatywna, domagać się jej reformy, pracować z ludem i dla ludu, kształcić dzieci na agronomów, a nie na filozofow lub encyklopedycznych blagierów, trzymać się silnie ziemi i nie uciekać do miasta, wreszcie zapoznać się z zasadami i kierunkami stronnictwa postępowego, a raczej tego jego odłamu, który nie myśląc o „podporządkowywaniu“ nikogo i niczego, woła: światło rozpalcie — ducha nie gaście!

Proste to i łatwe zadania! Czy je spełnimy? Nie wątpię! *)

Gozdawa.

*) Według zapowiedzi, na „Listy“ te odpowiemy szeregiem uwag z naszej strony. *Red.*

BADANIA NAUKOWE.

J. S. Mill: *Poddaństwo kobiet.* Kraków, 1887.

Są ludzie, obwiniający we wszystkiem ideę. Było spokojnie — twierdzą; nikt nie myślał o niesnaskach i hałasach; każdy żył w zupełnem zadowoleniu ze swego losu. Ale zjawiła się nieszczęsna idea, zawieruszyła głowy, rozgorączkowała serca i przyprawiła społeczeństwo o niepokój. Oczywiście, dla wielu i kwestya kobieca nie inaczej świat ujrzała. Zapominano się jednak, że idea nie wyłania się jak Minerwa z głowy Jowisza bez zapłodnienia; że dla wyrażenia jej potrzeba, ażeby i w samem życiu społecznem zjawiły się odpowiednie stosunki. Podobnież było i z wyzwoleniem się kobiety. Z powodu różnych okoliczności, wytworzonych przez rozwój społeczny, zaczęła się ona dobijać o niezależne stanowisko ekonomiczne względem mężczyzny, lecz w tych swych dążnościach spotkała się z wrogą sobie atmosferą prawną i obyczajową. Ale znalazły się umysły wrażliwsze, przyznające słuszność podniesionej sprawie. Zjawiają się obrońcy kwestyi kobiecej. Gdyby nie było Pawła, byłby Gaweł; gdyby Gaweł nie zabrał głosu, ukazałby się Marcin. Dążeniom społecznym nigdy nie zbraknie wyrazicieli, skoro stosunki już dojrzały do wypowiedzenia odnośnej idei. Jak na krzaku po zerwanym listku wyrasta inny, również i ona zawsze będzie wykwitała mimo zduszenia tego lub owego jej głosiciela, jeżeli tylko samo życie społeczne dostarczy stosownego podścieliska. Zapatrując się tak na pochodzenie wszystkich owych to wzniosłych, to plugawych haseł, które kiedykolwiek poruszyły ludzkość, tem samem jeszcze nie zaprzeczamy ogromnego znaczenia zrodzonemu w ten sposób słowu, co, raz wypowiedziane, staje się potężnym orężem ku uzyskaniu w społeczności obywatelstwa dla kiełkujących pragnień.

Wśród książek, poruszających kwestyę kobiecą, wiele moglibyśmy naliczyć prac głębokich i gruntownych, jesze więcej namiętnych i gorących, lecz niewiele takich, co swym wpływem przewyższyłyby broszurkę Milla *O poddaństwie kobiety*. Z prawdziwą przyjemnością witamy jej powtórne wydanie w języku polskim, lubo osobiście nie wszędzie nas ona zaspokaja. W niektórych punktach nie stoi ona już na wysokości zdobyczy naukowych — nowsze badania odsłoniły w zmrokach dziejowych inny porządek rzeczy, aniżeli przypuszczano za czasów Milla; stosunki ekonomiczne wyniosły na stanowisko pierwszorzędne sprawę pauperyzmu i mocno nadwerężyły goły ideał równości wobec prawa, wówczas gdy dla myśliciela angielskiego niewola kobiety stanowi jeszcze niemal najgłówniejszą plamę na teraźniejszości społecznej. Ale mimo to wszystko dziełko nie traci na wartości. Spokojnie, lecz silnie występuje przeciw upodlonemu stanowisku kobiety w rodzinie, jej bezustannej prawnej niepełnoletności, przeciw odsunięciu od życia publicznego i zamknięciu w ciasnym zakresie prywatnej działalności. Kto zgadza się na przyznanie kobiecie umysłowego uzdolnienia do życia publicznego, musi przystać i na te punkty praktyczne; dlatego też zajmiemy się streszczeniem tej teoretycznej podstawy wywodów Millowskich.

„Sądzę, że zasada, regulująca stosunek dwóch płci, czyniąc jednę drugiej podwładną w imię prawa, jest zła sama w sobie... że powinna ustąpić zasadzie doskonałej równości, niedozwalającej na przywileje lub władzę z jednej strony, a nieudolność z drugiej“ — oto jak autor wypowiada cały swój pogląd na sprawę kobiecą. Idzie mu o dowiedzenie tego, trudność zaś cała spoczywa nie w braku lub niejasności dowodów teoretycznych, lecz w tem, że trzeba tu wystąpić do walki z uczuciem powszechnem i głęboko zakorzenionem; nie należy się zatem dziwić, że ono najwytrwalej stawiało opór i dotarło aż do chwili obecnej.

Przyjęcie samego systemu nierówności nie było wynikiem namysłu lub zdobytych wiadomości dla zapewnienia ludziom szczęścia i zaprowadzenia porządku społecznego; powstało w zaraniu cywilizacyi, gdy każda kobieta znalazła się niewolnicą mężczyzny (dzięki bądź to wartości, jaką on do niej przywiązywał, bądź mniejszej sile mięśni). Systematy polityczne uznają zwykle gotowe, istniejące między jednostkami stosunki. To, co było w początkach wypływem brutalnej siły, zamieniają one w prawo, zapewniając mu sankcyę społeczeństwa. Uprawniono i poddaństwo kobiety. Zależność, która przetrwała do dni naszych, jest ciągłym lub zmienionym stanem pierwotnej niewoli. Istniejący w tej mierze porządek nie nie posiada na swoją obronę krom przetrwania, co jest dla wielu dowodem przemawiającym.

Niewola kobiety jest najbardziej zakorzenioną ze wszelkiego rodzaju przemocy, które dotrwały do naszych czasów. Zadowolenie z posiadania władzy, interes osobisty, któremu sprzyja, nie są przywilejem jednej klasy, ale korzysta zeń cały rodzaj męzki. Ma ona oparcie w sercu każdego mężczyzny. Jeżeli z takim trudem i po tak długim czasie obalano tę i ową władzę, jawnie biorącą początek w sile i daleko słabiej bronioną przez ogół, tem większych trzeba wysiłków dla zwalenia zwierzchnictwa mężczyzny. Kobieta jest to poddany, który żyje pod okiem swego pana; z nim łączy ją związek silniejszy i niema sposobów spiskowania przeciwko niemu. Przeciwnie, znajduje ona ważne powody starania się o jego względy i unikania jego obrazy. Trudno zachwiać tym stanem rzeczy, wypada się raczej dziwić, że tyle podniesiono protestów i tak wymownych. Są jednakże tacy, którzy twierdzą, iż panowanie płci męzkiej jest naturalnym porządkiem rzeczy. Alić jakąż władzę uważaliby za przeciwną naturze będącej w jej posiadaniu? Nawet Arystoteles bronił niewolnictwa, opierając się na tych samych przesłankach, mianowicie, że jest to rzeczą naturalną; z podobnych założeń wychodzą obstający za niewolą kobiety. Zdanie, że coś jest nienaturalnem, znaczy tyleż, co niezwyczajnem; wszystko, co jest przez zwyczaj utarte, zdaje się być naturalnem. Poddanie kobiety mężczyźnie jest zwyczajem powszechnym, dlatego wystąpienie z granic tego zwyczaju zdaje się być przeciwnem naturze. Ale powiedzą nam: władza mężczyzny nad kobietą różni się od wszelkich innych rodzajów władzy tem, że jest dobrowolnie przyjętą — kobieta na nią się nie skarży i poddaje jej się chętnie. Zapominają, że znaczna liczba kobiet tej władzy nie uznaje; tu i owdzie walczą one o prawo powszechnego głosowania do parlamentu, o wstęp do wyższych zakładów naukowych. Zresztą pamiętajmy, że i niewolnicy nigdy nie żądali odrazu zupełnej wolności. Jest to rzecz naturalna, że ci, którzy ulegają oddawna istniejącej władzy, nie powstają wprost przeciw niej samej, ale przeciwko uciskowi, doznawanemu przez jej wykonawców. Były zawsze kobiety, skarżące się na złe z niemi postępowanie mężów i głosy te byłyby liczniejsze, gdyby skargi podobne nie pociągały za sobą jeszcze większego gwałtu. Nie można jednocześnie utrzymać władzy męża i obronić żonę przed nadużyciami. Wszystkie warunki spółdziałają, aby uczynić prawie niepodobnem podniesienie ogólnego buntu kobiet przeciw mężczyznom. Panowie żądają od nich więcej niż usługi, roszczą bowiem jeszcze prawo do ich uczucia. W tym celu niczego nie zaniedbują dla ujarzmienia ich umysłów; wszystkie kobiety od dzieciństwa są wychowywane w przekonaniu, że ideałem ich charakteru jest zupełne przeciwieństwo z charakterem mężczyzny, że winny ulegać woli cudzej, żyć jedynie uczuciem dla męża i dzieci. Przedstawiono słabość i wyrzeczenie się własnej woli jako szczyt powabów kobiecych.

Powyższe uwagi wystarczają dla pokazania, że zwyczaj, chociażby był najpowszechniejszy, nie stanowi dowodu słuszności instytucyj, utrzymujących kobietę w biernem i zależnem położeniu od mężczyzny. Ale co więcej, i bieg historyi zwraca się przeciw nierówności. Swoboda — oto dążność dziejowa chwili obecnej. Żaden mężczyzna nie jest legalnie pozbawiony prawa starania się o stanowisko, jakiego pragnąć może. A kobieta? Nieudolność przyznana jej dlatego tylko, że urodziła się kobietą, jest jedynym przykładem wyłączności, którą w prawodawstwie spotykamy. Na nic się przyda twierdzenie, że natura obu płci przeznacza je do obecnego położenia. To, co nazywają dzisiaj naturą kobiecą, jest wynikiem skrępowania przymusowego w jednym i podniecenia wbrew naturze w drugim kierunku. Można śmiało twierdzić, że w żadnym wypadku charakter poddanych nie został tak całkowicie wypaczonym przez stosunki ich do panów swoich. Do kobiet stosowano hodowlę cieplarnianą, rozwijając te zdolności, które mogły ich panom zapewnić korzyść i przyjemności. Widząc nareszcie, że niektóre objawy ich sił życiowych kiełkują i rozwijają się szybko w tej atmosferze sztucznie ogrzewanej, pośród troskliwej opieki, gdy tymczasem inne latorośle tego samego korzenia, pozostawione na zewnątrz w powietrzu zimowem i rozmyślnie obłożone lodem, nie nie wydają i dogorywają, ludzie, pozbawieni zdolności oceniania własnej roboty, wyobrażają sobie naiwnie, że roślina wyrasta sama przez się w kierunku, do którego ją nagięli. Wobec tego, jaką jest różnica pomiędzy naturami obu płci,

zagadnienie to musi pozostać na dzisiaj nierozstrzygnięte.

Staraliśmy się wyłożyć jaknajściślej myśl autora. Nie wdając się w jego wywody, dotyczące różnych poszczególnych faktów, zakończymy słowami Milla: „wszelkie argumenta przeciwko przywilejom płci jednej mało na siebie zwrócą uwagi powszechnej, póki same kobiety skarżyć się nie będą.“

K. R. Żywicki.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

X.

Niezmiernie wiele obiecywał tytuł pracy p. Józefa Jeziorańskiego, drukowanej w trzech ostatnich zeszytach *Ateneum*. „Kierunki naszych czasów“ — brzmi to mniej więcej tak, jak „Główne prądy literatury dziewiętnastego stulecia,“ albo „Psychologia współczesna w Anglii.“ Rychło jednak przekonywa się czytelnik, że wielkich rzeczy oczekiwać nie może. Autor wzniósł się na wysokość już nie lotu ptaka, ale wiru obłoków i naturalnie bardzo mało stamtąd zobaczył. Dostrzegł zaledwie łebki zagadnień i walk, nurtujących dzisiejsze społeczeństwo, wyliczył je z nader pobieżną charakterystyką każdego i na dwudziestej stronicy spoczął, syt sławy i owoców. Uznał on, że w cywilizacyi europejskiej naprawdę coś się zepsuło, a pięknie brzmiące godło potęgi ekonomicznej, bez względu na podział bogactw już nikogo zadowolnić nie może. Należy więc na gruncie istniejącego porządku, w którym przeoduje idea narodowości, zaszczepić pewne zmiany na rzecz wydziedziczonych, ażeby odjąć kredyt socyalizmowi wywrotowemu, który coraz więcej szlachetnych opanowywa umysłów. Punkt widzenia etyczny — niesłusznie p. Jeziorański nazywa go społecznym, bo społecznym jest też objawem walka o byt pomiędzy ludźmi — winien uzupełniać dotychczasowe stanowisko czysto gospodarcze. A określonej w ten sposób potrzebie przychodzą w pomoc trzy podkierunki: stopniowe zacieranie różnic, zbyt jaskrawych, między wrogiemi klasami drogą dozoru nad stosunkami prawodawców do robotników, sądu rozstrzygającego ich spory, kas zaliczkowych i tym podobnych urządzeń; powtóre prądy agrarne, dążące do umocnienia własności ziemskiej, zwłaszcza drobnej; one to stworzyły w Ameryce i w Niemczech mnóstwo ustaw, zapobiegających wyzuwaniu włościan z ziemi i zbytniemu jej obdłużaniu; wreszcie rozkrzewianie coraz większej miłości do rzeczy swojskich, czyli wzrost nacyonalizmu. Są to „środki obrony“ przeciwko powszechnej rewolucyi, grożącej zagładą wszystkich dobrodziejstw i zdobyczy oświaty. Jak pierwszy z nich wyrodził się gdzieniegdzie w chorobliwą manię antisemityzmu, tak ostatni shańbił się nieco potworną swą odroślą: nienawiścią dla obcych narodów, którą niemcy podnieśli do znaczenia ideału. Wypada więc te nowotwory usunąć i wspomniane odczynniki przeciwko zarazie socyalnej sprowadzić do właściwej miary.

Jeszcze mniej nowego powiedział autor o kierunkach politycznych, jak militaryzm i system ceł ochronnych. Nawet nieczuły słuchacz łatwo w duszy swej dośpiewa uwagi nad niemi. Całość wieńczy szereg rozmyślań ogólnych, z których wykwita nadzieja, że zgubne propagandy znajdą należyty odpór w poszanowaniu jednostek zbiorowych, jakiemi są narody. Dzieje ostatnich lat trzydziestu mają dowodzić, że ta zasada coraz więcej w rządach teraźniejszych zyskuje sobie wyznawców i w końcu stanie się kluczem do wszystkich zawiłych zagadnień.

Jako wyraz osobistych usposobień, szkic p. Jeziorańskiego jest niewątpliwie sympatycznym; potrąca bowiem o strunę w czytelniku najczulszą i najdźwięczniejszą. Żadnego jednak innego znaczenia nie posiada. Tylu już pisarzów męczyło i na wsze strony obracało owe porywy kultury ku czemuś lepszemu i sprawiedliwszemu, że lekkie o nich napomknienie, nie poparte nawet źródłową znajomością sprawców i sędziów ruchu, kwestyi ani o krok dalej nie posuwa. Świadczy ono, co najwyżej, o zajęciu się bliższem chwilą krytyczną, dla której obojętnym może być tylko półgłówek.

Spłaciwszy dług swoim — filozofia rodzima, zawsze senna, teraz na dobre w śpiączkę letnią zapada — przechodzę do obcych. To, o czem mówić zamierzam, wprawdzie również szczytów myśli ludzkiej nie sięga, ale stanowi znamienny dowód potęgi pewnych jej gałęzi — w danym wypadku psychologii. Sztuka odgadywania człowieka z zewnętrznych jego cech i właściwości wstaje do nowego życia z poniżenia, w jakie ją wtrąciły nie zawsze szczęśliwe usiłowania Lavaterów, Desbarolles'ów, ba, nawet Comte'a, który władze duchowe porozmieszczał w mózgu, jak kartofle w zagonie. Wykazał Darwin, jak zwykle u osobnika żądze, uczucia i namiętności piętnują się na jego rysach. Z drobniejszych jeszcze szczegółów śmiałe wyprowadza wnioski tak zwana „grafologia“ (graphologie), albowiem z pisma, z budowy liter, zakrętów, ich pochylenia, grubości, drgnień i różnych cech szczególnych odtwarza charakter jednostki. Prawda, że usłużni reklamiści upatrzyli w tych badaniach miłą zabawkę i dali jej stały kącik w czasopismach, na równi z zadaniami szachowemi i rebusami, ale muszą też poważne nastręczać się spostrzeżenia w tej nowo odkrytej dziedzinie, skoro tak stateczne wydawnictwo, jak *Przegląd filozoficzny*, redagowany przez Ribota, dużo mu miejsca poświęca. Rozbitkom teoryi wolnej woli fakt ten wydawać się może smutnym i niepożądanym, ale pewnem jest, że nieraz już otrzymywano nieomylne, bliźniacze do prawdy podobne portrety, pomimo iż autor pisma starał się je przekształcić i typowości pozbawić.

Dzisiaj umiejętności jasnowidzenia przybywa nowy środek: mimika. Wprowadza go do nauki nie patentowany profesor, ale dyletant, na pozór mało stykający się z mądrością książkową. Jest nim major armii duńskiej M. S. Schack, który rozprosząne po całym świecie dane o znaczeniu charakterystycznem mowy, ruchów, chodu, postawy, jak niemniej i pisma, zebrał w jedną uporządkowaną grupę spostrzeżeń i objaśnił odpowiednimi rysunkami *). Znaleźć tam można mnóstwo ciekawych zestawień fizyognomij ludzkich i zwierzęcych. Łatwo domyśleć się, że duch dzieła jest nawskróś darwinowski, albowiem opiera się głównie na dziedziczności oraz wierze w stałe dopasowywanie się rysów i pomienionych cech zewnętrznych do często nawiedzających jednostkę stanów psychicznyah, czyli właściwości dla niej znamiennych. Krytyka zagraniczna bardzo życzliwie przyjęła dostarczony przez Schacka materyał, witając w nim jeden z owych przyczynków, których nagromadzenie upoważnia z czasem specyalną wiedzę do wysnuwania szerszych praw i uogólnień.

Leży przedemną zapomniany dramat Klaudyusza Bernarda. Rodacy wielkiego fizyologa i humanisty, cenią jak drogie relikwie wszelkie okruchy pozostałej po nim spuścizny literackiej. Ponownie sylwetkę jego podał Jerzy Barral, który rozumie należycie całą wielkość tej rzadkiej postaci, złożonej z głębokiego uczonego, poświęcającego się urzędnika, przenikliwego myśliciela, pełnego uczuć szlachetnych mistrza i towarzysza. Nie był to, jak już dawniej wykazał kolega jego Ernest Renan, umysł, ślepo wierzący w potęgę medycyny, ale przeciwnie sceptyk z krwi i kości, który pracowicie rozkładał na części organizm, podpatrywał jego tajemnice i sprężyny, ale nie sądził się mocnym do rozkazywania mu i narzucania dowolnych zmian. Dziwne też były koleje jego. Zanim oddał się badaniom nad zjawiskami życia, był aptekarzem. Żmudne zajęcie przeplatał wybuchami zapału dla muzy teatralnej i pod wpływem utworów Wiktora Hugo i Nepomucena Lemercier postanowił próbować sił na polu dramatopisarstwa. Poroniony płód jego egzaltacyi młodzieńczej p. t. *Artur Bretoński* *) stanowił całe mienie, z jakiem ongi powędrował do Paryża szukać chleba i laurów. Losy owego występu najdosadniej określa napis, umieszczony z wzruszającą skromnością na pozostałym rękopisie: „Dramat niewydany, przeczytany i z mnóstwem poprawek potępiony przez Saint-Marc Girardina.“ Że jednak niefortunny poeta miał intuicyę, dowodzą słowa jego, wyrzeczone o znanej truciznie *curare*, której własności dokładnie poznał i wyłożył w osobnem studyum. Gdy poprzednio mniemano, że śmierć przez nią wywołana jest słodkim snem — on przekonał ogół, że ofiara zachowuje całą świadomość i oto obraz jej, skreślony piórem samego badacza: „W tem ciele bez ruchu, po za tem okiem zamglonem i wszystkiemi znamionami śmierci — wrażliwość i inteligencya trwają w całej swej sile. Możnaż pojąć cierpienie straszliwsze nad to, jakiego doświadcza umysł, przytomny kolejnej utracie wszystkich narządów, przeznaczonych do służenia mu, i widzący się jak gdyby zamkniętym żywcem w trupie? Po wszystkie czasy urojenia poetyckie, ilekroć chciały rozbudzić naszą litość, przedstawiały nam istoty czułe, uwięzione w ciałach nieruchomych. Katusza, którą wymyśliła wyobraźnia wieszczów, została urzeczywistnioną przez naturę w działaniu trucizny amerykańskiej. Moglibyśmy nawet dodać, że fikcya nie dorównała wcale prawdzie. Gdy Tasso maluje nam Kloryndę, zaklętą w cyprys wspaniały, zostawia jej przynajmniej płacz i jęki, ażeby mogło się skarżyć i zmiękczyć tych, co jej sprawiają ból, raniąc korę delikatną.“

W tym ładnym opisie faktu przyrodniczego przeziera dostatecznie skłonność do uniesień, która też znalazła sobie ujście w odrzuconym dramacie. I tam widnieje wielka podniosłość uczuć, a pod nieudolnem wykonaniem, długiemi tyradami i nudną dosyć akcyą ukrywa się wcale niezły pomysł. Jest on historycznym, zapożyczonym z dziejów trzynastego wieku. Przyjaciel, dworzanin i doradca księcia bretońskiego, godzi na dobro własnej córki, którą tamten ukochał gorąco i pragnie poślubić; czyni zaś to dla zbawienia tronu swojego pana i wychowańca, oraz połączenia go w tym celu z córką króla angielskiego, potężnego sprzymierzeńca. Dyalogi nacechowane są czułostkowością, a bohaterowie wygórowanym idealizmem — ale doprawdy, niejeden z naszych utworów, na tle przeszłości osnutych, rozsławiony i pod niebiosa wyniesiony, nie wytrzymałby porównania z tym okazem naiwnej emfazy.

Wydawca, Barral, załącza do życiorysu autograf, o którym znany i wyżej wspomniany grafolog Desbarolles wyraża się: „Jest to pismo umysłu głębokiego, zdradza badawczość, dedukcyjność, intuicyę, chwiejność; wskazuje też na wyobraźnię dobrze uporządkowaną; a także na wielką przychylność, tkliwość, czystość.“

Robon Dion.

*) „La physyonomie chez l'homme et chez les animaux, dans ses rapports avec l'expossion et des sentiments.“ Paryż, 1887.

*) „Arthur de Bretagne,“ 5 aktów.

ISKIERKI NAUKOWE.

Dwóchsetlecie książki. Nowoczesna wiedza o wszechświecie zrodziła się z trzech książek, które jej dały naukową podstawę: Kopernika *De revolutionibus orbium coelestium*—o obrotach ciał niebieskich; Galilea *Dialogo intorno ai due massimi sistemi del mondo Tolemaico e Copernicano*—rozmowa o dwóch najznamienitszych systematach świata, Ptolemeuszowym i Kopernikowym i Newtona *Philosophiae naturalis principia mathematica*, podstawy matematyczne filozofii przyrody. Od czasu ukazania się trzeciej z tych książek upływa w maju dwieście lat. Ona to właściwie dała początek systematycznym badaniom nad fizyką teoretyczną, usiłującą wszystkie zjawiska sprowadzić do jednego — ruchu. Starożytność opracowała jeden rozdział z mechaniki: o równowadze sił, czyli statykę. Podstawy dynamiki, nauki o ruchu, o ile wolno tak rozległy przedmiot jednemu przypisać myślicielowi, położone zostały przez Galileusza. Jego współczesnemu, Kepplerowi, powiodło się niedawno przedtem obwarować od napaści system Kopernika przez odkrycie trzech praw obrotu planet i na tych trzech prawach opierając się, Galileusz obalił ostatecznie system Ptolemeusza. Między twórcami mechaniki a zarazem i fizyki teoretycznej wymienić jeszcze należy Huygensa, który zbudował sobie pomnik wiecznotrwały w dziejach umiejętności swoją teoryą wahadła.

Tak przygotowany grunt zastał Izaak Newton. Na wszechnicach europejskich podówczas niemal wszędzie fizyka Descartes'a po długiej walce zajęła miejsce Arystotelesowskiej. Obserwowano obroty kawałków drzewa, porwanych wirem wodnym, i przedstawiano sobie ciała niebieskie, jako „statki bez steru i żagli," według wyrażenia Descartes'a, porwane ruchem płynu, wypełniającego wszechświat i zakreślające w przestrzeni kręgi olbrzymie. Objaśnienie to wszakże nie zadawalało Newtona. Przyczyny ruchu planet szukał w sile ciężkości, która od czasów Galileusza uchodziła za typową. Skutkiem wybuchu zarazy w Cambridge wyjechawszy na głęboką prowincyę, oddał się rozmyślaniu nad tem zagadnieniem. Wobec takiego stanu rzeczy ocenić łatwo, ile ma wartości anegdota, przez Voltaire'a rozpowszechniona — o jabłku spadającem, które miało Newtonowi podsunąć rozwiązanie pytania o ciążeniu powszechnem.

Zajęty rozważaniem biegu księżyca rozumował Newton w ten mniej więcej sposób. Gdyby to ciało samo sobie było zostawione, to posuwałoby się po linii prostej. Skoro zaś w istocie zbacza z linii prostej ustawicznie, w każdej, nawet najdrobniejszej cząsteczce czasu, aby ziemię okrążać dokoła, zatem niechybnie istnieje jakaś siła nieustannie pociągająca to ciało ku środkowi ziemi, a jednocześnie pokonywająca dążenie odśrodkowe. Za punkt wyjścia do obrachowań przyjąwszy trzecie prawo Kepplera *) znalazł, że przyciąganie wzajemne dwóch ciał niebieskich jest odwrotnie proporcyonalne do kwadratu ich odległości. Kiedy jednak powyższe prawo zastosował do ruchu księżyca około ziemi, i, nie posiadając na wsi pod ręką dostatecznych materyałów naukowych, czerpał dane z pamięci, otrzymał cyfrę, mającą wyrażać przyciąganie ziemi i księżyca widocznie zbyt małą. Nadmienić też wypada, że dokonany w r. 1615 przez Snelliusa w Holandyi pomiar stopnia południka, wysoce niedokładny, dostarczył światu uczonemu wskazówek błędnych, na których oparte wnioski nie mogły być zadawalające. Rezultat, przez Newtona otrzymany, tak zachwiał jego zaufanie w obranej metodzie, że wróciwszy do Cambridge, zajął się studyami optycznemi a teoryę ciążenia powszechnego na bok odłożył.

W listopadzie 1679, odpowiadając na pytanie z astronomii, uczynione mu przez Akademię, Newton w liście do sekretarza Royal Society proponuje jako dowód obrotu ziemi około osi wykonanie doświadczeń ze spadkiem ciał ze znacznej wysokości. Kierunek spadku powinien być niezupełnie pionowy, ale nieco ku wschodowi zwrócony. Sekretarz Hooke, któremu przeprowadzenie tych doświadczeń powierzono, znajduje rachunkiem, że gdyby atmosfera nie istniała, to spadek odbywaćby się powinien po linii eliptycznej. To doprowadziło Newtona do stwierdzenia doniosłego prawa Kepplera, iż drogi planet, poruszających się około punktu, przyciągającego z siłą odwrotnie proporcyonalną do kwadratow z odległości, są elipsami i że słońce znajduje się w jednem z ognisk tych elips. I teraz wszakże nie zdecydował się ogłosić teoryi swojej o ciążeniu powszechnem, jako niestwierdzonej rachunkiem przeprowadzonym co do księżyca.

Dopiero w czerwcu 1682 r. dowiedziawszy się na posiedzeniu Royal Society o cyfrach, otrzymanych przez Picarda przy pomiarze stopni południka, dokonanym w latach 1669 i 1670 z polecenia Ludwika XIV, Newton powrócił do swoich obliczeń. Właściwie i pomiary Picard'a nie były wolne od błędów; jednakże szczęśliwy przypadek rządził, że błędy astronomiczne i błędy geodetyczne zniosły się nawzajem a tak wyniki, przez Picard'a osiągnięte, posiadają ścisłość uderzającą.

Teraz już i Newton przyszedł do rezultatów pożądanych. Ściśle określoną została siła, regulująca wędrówki księżyca i planet po przestworzach. Wiadomość o swej zdobyczy naukowej udzielił Newton Towarzystwu królewskiemu. Znakomity Halley odwiedził go, prosił o okazanie dowodów, popierających wygłoszone teorye i błagał o ogłoszenie ich drukiem. Newton przyrzekł to przyjacielowi i w kwietniu r. 1686 przesłał Akademii rękopis pod tytułem: *Philosophiae naturalis principia mathematica.* Zaszedł jeszcze wysoce niemiły spór o pierwszeństwo odkrycia ze wspomnianym już sekretarzem Robertem Hooke, wreszcie w maju 1686 r. Towarzystwo królewskie uchwaliło za zgodą Newtona pracę jego własnym wydać nakładem. Autor pragnął początkowo trzecią księgę dzieła opuścić w druku „aby z tak nieskromną i kłótliwą imością, jak filozofia, w procesy się nie wdawać." Skrócone w ten sposób dzieło miało nosić tytuł: *De motu corporum libri duo.* Ostatecznie jednak zgodził się na utrzymanie całości. Nadzór nad drukiem powierzony został Halley'owi. W tych dniach upływa lat dwieście od chwili wyjścia książki Newtona z pod tłoczni. Nieprędko wszakże powiodło się nowej teoryi wyrugować kartezyańską i to w ojczyźnie Newtona później niż na lądzie stałym.

*) Prawa Kepplera są:

1) Orbity planet są elipsami, w których jednem ognisku wspólnem jest słońce;

2) W ruchu planety powierzchnie, zakreślone przez promień wodzący, są proporcyonalne do czasu — i

3) Kwadraty z czasów całkowitego obrotu planet są proporcyonalne do sześcianów z osi wielkich ich orbit.

LITERATURA I SZTUKA.

O niej!.. Szkice i obrazki M. Gawalewicza. Kraków, 1887, 2 tomy.

Jeśli, mieszczuchu, zabrawszy swoje lary i penaty, podążasz na wieś pod osłonę ciemnych borów i wonnych pól — weź z sobą tę oto wiązankę opowieści, a pod dachem błękitnego nieba, leżąc na trawie, będziesz miał miłą rozrywkę, licującą najzupełniej z otoczeniem. Prawdziwie wiosennym i jak rozkwitająca czeremcha odurzającym jest ten wianuszek wspomnień lirycznych, a tak różnobarwnym, że znudzić nie może. Znajdziesz w nim wdzięczne obrazki swojskie, żywcem przeniesione na papier z rzeczywistości, ze wszystkiemi rozkoszami sielskiemi i urokiem spędzonego w ojczystej zagrodzie lata, jak w *Zemście trubadura*, i sielankę pierwszej miłości, i łzę szczęścia witających cię rodziców i domowników. Jeśliś pobożny, przypomni ci się wigilia Bożego Narodzenia, kiedy to przy stole, sianem posypanym, pochłaniałeś łakocie, a dziad i ojciec strofowali cię za haniebne ze szkoły niemieckiej wyniesione bąki w mowie, tak samo jak w okruchu literackim *Na świętach*.

Przenieś się myślą na ulice wielkiego miasta, Krakowa lub Warszawy, a zbierzesz na nich z autorem gromadkę ciekawych typów. *Pauper* przedstawia sympatyczną postać chłopca, żyjącego na bruku odpadkami ze straganów, z jałmużny litościwych i sprzedaży fiołków, a pomimo to uczciwego i szczerze przywiązanego do studenta, który mu dał schronienie. Dzielny wyrostek, złakomiwszy się pewnego razu na fajkę chlebodawcy, odniósł inną „sułtańską," gdy powrócił z wojny, na którą popchnęła go fantazya zucha. Bardziej oryginalnym okazem lazzarona polskiego jest *Słoń*, dziecię uwiedzionej francuzicy, potworne tuszą i kształtami; odumarła go matka, co się nim pospołu z mamką-przekupką opiekowała, pozwalając żyć w dziwnej jakiejś, pół sennej apatyi i nieczynności. Został sam na świecie z jedynym przjacielem, kudłatym Bijoux, i jedynem marzeniem — o wygranej na loteryi. Tułającego się bezdomnie myśl ta zajmuje wyłącznie i głowę napełnia kombinacyami. Wreszcie los zmiłował się, zesłał upragnioną radość w formie stuguldenowego papierka — nie na długo jednak. Śpiącemu po odwiedzeniu szynku leniwcowi najdroższy druh, ukochany psiak, rozdarł banknot trzymany w garści.

W *Gęsi* bohaterem jest żołdak austryacki, pastwiący się okrutnie nad dwoma ochotnikami z lepszej warstwy społecznej. Nie pomagają poczęstunki ani pochlebstwa. Po za knajpą pozostaje nieubłaganym rygorzystą, z wiecznie surowem gminnem swem obliczem. Ofiary jego musztry z wielkiem zdumieniem odkrywają w nim przecież jakąś tkliwość i promyk ciepła, gdy wybierającego się na plac boju i zaszczyconego jakby dla ironii rangą oficera żegna matka, chłopka, która go żegnać nie śmie, jeno błogosławieństwami z daleka darzy i gęś na drogę wciska w dłoń. Anegdota opowiedziana humorem i dowcipnemi drwinkami z formalistyki w urzędach i tytułach austryackich.

Dotąd przecież *o niej* nic słychać jakoś. Tajemnicza Psyche wyłania się dopiero z innych nowel. Powieściopisarz stworzył kilka jej odmian, daleko więcej jednak do siebie zbliżonych, niż sam mniemał. *Adelka*, nie grzesząca bynajmniej zbytnią nowością pomysłu, to miłość młodego inżeniera do nieznajomej dziewczyny, którą widywał na rozkopywanych pod tor kolei żelaznej, czy też most — mogiłach. Zapałał uczuciem dla pięknej i skromnej, ażeby ją po pewnym czasie spotkać w przybytku podkasanej muzy, jako Wenus, produkującą się ślicznymi kształtami, i przekonać się, że ma do czynienia z poczciwą i dobrą, ale upadłą wychowanką skoszlawionej moralnie sfery. Poważniejsze studyum psychologiczne szerszego zakroju wyobraża kartka z albumu niedoszłego portrecisty, z nagłówkiem: *O niej.* Do ponurej już zadumy usposabia owa aktorka, szarpana jakiemiś nieokreślonemi namiętnościami, igrająca sercami młodzieży, jak kot z myszami. Nierozważnie musnąwszy słabem skrzydłem ten płomień niebezpieczny, jedna ćma o mało co nie spłonęła. Kapryśna bogini, coś w rodzaju Kleopatry mniejszego kalibru, wije się z boleści, gdy ją opuszcza jedyny przez nią kochany paniczyk, zalewa się strumieniami łez i ledwie ducha w ciągłych omdleniach nie oddaje; jednocześnie zaś łudzi zwodnemi nadziejami poczciwego wielbiciela — ćmę i w końcu wyznaje, iż jest mężatką. Nic przeszkadza jej to szerzyć nowych podbojów; ruina powodzenia na deskach scenicznych i wygód życiowych nie odbiera pychy i męztwa. Nieodgadniona w swoich obyczajach, czy rozpustna zalotnica, czy ostrożna kokietka, zdobywa jednak serce starego i szlachetnego teatroma-

na dziwnymi błyskami serdeczności i dziwacznem zachowaniem się. Pstra mieszanina dodatnich i ujemnych stron, tworzy całość dosyć mało prawdopodobną, ale dosyć konsekwentnie przeprowadzoną.

Do tego samego szeregu zaliczyłbym *Głodną lwicę*, sylwetkę jakby żywcem z salonów paryskich przeniesioną na nasz grunt. Obałamucona romansami francuskimi i znudzona przez męża-rolnika kobieta, łaknie awantury miłosnej, naznacza schadzkę jednemu z głośnych lwów-pieczeniarzy w jego własnym domu. Blagier i fanfaron szykuje się do czułego sam na sam i zawczasu tryumfuje, gdy naraz dzwonek u drzwi zdradza w nim pospolitego tchórza, ośmiesza brzydkiem zakłopotaniem i samica chciwa żeru, wraca do domu w nastroju szyderskim, zadowolona z umyślnego eksperymentu.

Bliżej opisać sprawczynię złego w „obrazku“ z życia p. t. *Nigdzie mu dobrze nie było*— trudno. Występuje ona na chwilę tylko, ale dostatecznie okazuje fizyognomię z rodzaju powyższych, nieco romantyczną i szatańską. Uwaga autora skupiła się głównie na postaci mężczyzny, którego po okresie wzajemności nagłym rażono chłodem i pozwolono mu nędznie strawić się tajoną rozpaczą. Zamknął się w sobie, nie mógł odpowiedzieć na czyste i niewinne uczucie dziewczyny, którą poznał następnie; dogorywał w pesymizmie i tęsknocie, wreszcie wpadł w suchoty i marny żywot zakończył. Z listów po nim pozostałych, przeznaczonych dla dawnej bogdanki, lecz nie wysyłanych nigdy — powstała spowiedź, pełna bólu, poezyi i niewysłowionego smutku. Autor wybornie odmalował przebieg gorączki płucnej i towarzyszącego jej stanu umysłu, to wyglądającego śmierci, ro łudzącego się. W tem jednem męczeństwie tkwi bezmiar cierpienia,—cała bezdenna nędza ludzka przemawia ustami skazańca. Widocznie z żywej obserwacyi czerpane rysy i szczegóły złożyły się na utwór głębszy, a ze wszystkich niewątpliwie najlepszy; przypuszczam, że ludzie wrażliwi silnych doznawać muszą wstrząśnień pod wpływem tej drgającej realną prawdą opowieści.

Interesującą i jak gdyby dobrze nam znajomą postacią jest *Mój przyjaciel Hipcio*, domagający się, pomimo humorystycznego podkładu i przesadzonej nieco charakterystyki, wyróżnienia. Poczciwemu filistrowi narzuca się dawnem koleżeństwem, całkiem urojonem, szykowiec-pasorzyt; zwala mu się na kark, się jak pijawka, rozpowiadając o arystokratycznych koligacyach i stosunkach aż w Turcyi; udaje, iż nie sromałby się najwstrętniejszej pracy, a powoli ruguje swego karmiciela z własnej pościeli, ogołaca z zegarka i zdemaskowany w swem hultajstwie porzuca nareszcie, nie tracąc butnej miny. Gdyby nie bajeczna, zakrawająca na żart, słabość ofiary tego wyzysku — portret byłby wyśmienity.

Pozostaje natrącić o kilku luźnych fragmentach lirycznych. Celuje pomiędzy nimi *Nocna zmora*, przedstawiająca dosadnie zawód kochającej matki, która niecierpliwie wyczekuje przybycia syna studenta na wakacye, zawczasu widokiem jego się rozrzewnia i poi razem z całem miasteczkiem— krucyfiks, najdroższą po ojcu relikwię, nad łóżkiem wiesza a spostrzega w progach jakąś marę wychudzoną, zimną, trwożliwie się oglądającą naokoło, bo ściganą, niezdolną do pieszczot, bo poświęconą całkiem duchowi wieku. Jeśli pominąć sztuczne i patetyczne wyjaśnienia młodzieńca, niemożliwe wobec tła prostaczego, ocaleje jeszcze sporo motywu, nawet dla większego dramatu.

Nocturno przywodzi na myśl *Preludyum Szopena*. Zgrabne są te kwiateczki, wyhaftowane na tle muzycznem; ale już przejadły się i sentymentalizmem swym sprawiają mdłości. Tutaj treścią jest improwizowana na żądanie damy, jako podzięka za grę na fortepianie, opowieść. Uboga dziewczyna, zakochana w lekarzu matki, po jej śmierci wygrywa na gitarze znaną dumkę pod oknem jego w chwili, gdy on tonie w słodyczach miodowych miesięcy. Styl naciągany.

Raz przy zachodzie, to jakby westchnienie nad nieszczęśliwym polakiem, którego ziomek uratował od upadku moralnego i głodu, przygarnąwszy do siebie, a który u wrót szczęścia przed samym ślubem swoim zdruzgotany został przez odłam piaskowca w kopalni.

Całkiem słabą jest *Nierozegrana partya*. Człowiekowi udało się posiąść naraz dwa serca niewieście: pięknej i rozumnej dziewoi i fertycznej mężatki. W tym „ambaras de richesse“ spisuje się jak żak, płacze w listach do przyjaciela, błaga o radę i pociechę, jak gdyby ciężką zbrodnię popełnił. Już to p. Gawalewicz wogóle nie obdarza szczególną mocą przedstawicieli płci brzydkiej. Każdy inny na miejscu jego bohatera poradziłby sobie sam tak, aby wilk był syty i owca cała, nie zaś uciekał za granicę i rzucał dwa opuszczone serca na pastwę żalu. Nie twierdzę, że tak być powinno, ale to pewna, ze nigdy *inaczej* nie bywa w świecie rzeczywistym. Natomiast kobiety najczęściej wyposaża autor w niepospolicie silne instynkta i namiętności. Rozumie je też nieco po dawnemu, jako bardzo „pikantne,“ okrutne, zdradzieckie. Niestety, w życiu nie tak interesująco wyglądają one; nie są tak pochopne do przygód. Za mało używa pisarz barwy szarej, zwykłej pod słońcem.

Nawiasem dodać wypada, iż światek dziecięcy ma w nim życzliwego i umiejętnego spostrzegacza. Prócz wielu innych miejsc, na dowód służyć może obrazek *Babunia śp.*

Układ szkiców p. Gawalewicza ułatwia mu znakomicie robotę artystyczną. Prawie zawsze są one opowiadaniami jednej z głównych osób działających. Można się domyślać, że są to przeważnie reminiscencye autora, zapamiętane wrażenia i stąd zapewne płynie ich lekkość i mała wymuszoność. Ożywia ją rzetelny humor rodzimy, często tryskający dowcipem; wątek rozwija się potoczyście i łatwo, zjednywając twórcy pochwałę przyjemnego *causeura*. Takie bawidełka mierzą się inną zupełnie modłą niż rozstrzygające wielkie zagadki duszy ludzkiej— dzieła. Pokarm tu bardzo mało pożywny, ale niezaprzeczenie smaczny; wybornie nadaje się na wety po cięższej lekturze i orzeźwia pełnią uczuć, które gdy są wesołe, szczerze bawią, gdy posępne — potrafią wzruszyć. Ujawniają w autorze umysł żywotny, który nie sięga pewnie wyżyn Fausta lub Hamleta i dobrze zrównoważony przekłada drobne zadanka nad idee, wymagające szerszego opracowania i wyższego polotu — ale w zakresie artystycznej galanteryi pewny siebie. Działa w nim widocznie skrzydlata fantazya, sprzymierzona z darem spostrzegawczym. Przy staranniejszej jeszcze obserwacyi wiele typów mogłoby rościć prawo do nazwy bardzo udatnych.

Gdyby nawet pominąć milczeniem język p. Gawalewicza, czytelnik bez mozołu zdołałby jego właściwości odgadnąć; jest gawędziarski, niewybredny, płynny, ale często zmoże przez samą szybkość tworzenia zaniedbany. Stanowczo kuleje, ilekroć sili się na oryginalne porównania i zwroty. „Usta moje jak motyl goniły za“ paluszkami. Niepodobna chyba odrywać ust od głowy, tylko wzrok takiego przywileju używa. Trudno też wystawić sobie minę (podkop) nabitą wiadomościami wojennemi, jak opiewa str. 84, albo też skałę toczącą się („życie toczyło się jak skała“ str. 119). Niekiedy porównania wnoszą po prostu zamęt w jasne skądinąd rysy osobistości. Jakże pogodzić zapewnienie, iż „głodna lwica“ była wierną swojemu mężowi“ ze szczegółem, iż królowie stworzenia „szli pasać baranki na łąkach złośliwej czarodziejki“? (str. 198, t. II). Czasem też są nieudolnie wyrażone np. „siwy proboszcz, jak gołąb“ (str. 141).

Nadawanie całemu cyklowi powiastek tytułu jednej z nich sam autor uznaje za naśladownictwo. Fraszka to, ale znamiennie świadcząca o skromnych co do formy wymaganiach. „Modany de Maupasant tak— więc i ja tak.“

Cezary Jellenta.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nasze biedactwo. — Radość z powodzeń materyalnych. — Przecenianie rodzimych wartości. — Wieńce szczodrze rozdawane w pismach ilustrowanych. — Widok prawdziwie swojski. -- P. Krasiński zdumiony swoją chwałą w *Gazecie rolniczej*. — Jego protest. — Daremna obrona. — Pouczająca przestroga. — Psychologiczne usprawiedliwienie. — Feliks Gebethner.

Gdyby społeczność naszą potrzeba było określić jednym wyrazem, powiedzielibyśmy, że jest to: biedactwo— biedactwo dumne a ubogie, przypominające sobie ciągle obowiązek zastosowania się do warunków rzeczywistych a uciekające myślą do urojonych, czasem tak pyszne, że Paryżowi urąga Pińczowem, a czasem tak pokorne, że pada bałwochwalczo na twarz przed francuskim krawatem, gotowe oddać ostatnią kroplę krwi za swój język, a upośledzające go wszędzie dla obcej mowy — słowem — jest to biedactwo niedojrzałe, w sprzecznościach zawikłane, rwące się ku przyszłości w niemocy, do górnych lotów — z obciętemi skrzydłami. Od lat dziesiątka widzi ono swe szczęście w rozwoju ekonomicznym, materyalnym; więc też oklaskuje każde ku temu celowi dążenie, wieńczy najdrobniejszy w tej dziedzinie postęp. Czy też zdażyło wam się kiedykolwiek w *Temps* lub *Kreuzzeitung* spotykać takie artykuliki:

„Możemy podzielić się z czytelnikami radosną nowiną, że w X. wkrótce założona będzie fabryka gwoździ.“ Albo też: „Piękny przykład rozumnego pojmowania życia dała panna X., córka niegdyś zamożnych rodziców, która przyjęła miejsce nauczycielki w domu piekarza.“ Albo: „Znowu nasza niezaradność pozwoliła wyprzedzić się niemieckiej zabiegliwości: przy licytacyi na dzierżawę mostu utrzymał się prusak“— itd.

Gdzieindziej fabryka gwoździ, nauczycielka z bogatego domu, dzierżawa mostu— te i tym podobne wypadki są czemś zwykłem, przez prasę osobno nierachowanem; u nas są to fakty społeczne. Połowa kolumn dzienników zapełniona jest zachwytami i utyskiwaniami tego rodzaju, najpospolitsi geszefciarze wyrastają przytem na bohaterów a niedołęgi zniżają się do poziomu złoczyńców. Nieraz ów przepędzany przez drukowaną opinię ogół robi wrażenie chudego, zamęczonego i narownego konia, którego woźnica smaga, szturga, podpala słomą, aby z miejsca ruszył, a ten stoi i wierzga; gdy zaś ruszy i pociągnie, taką wywołuje radość, jak gdyby nie przekonał wielokrotnie, że za chwilę znowu ustanie.

— Na miłosierdzie boskie pracujmy, nie puszczajmy ugorem żadnego pola, obsiewajmy każde ziarnem, a nuże! — do roboty leniuchy — wstawajcie śpiochy!

Oto głosy, które ustawicznie brzmią w naszej prasie. Tak zaś nawykliśmy do tych nawoływań, że często drzemiący upomina tego, który się już przebudził, próżniak poszturguje tego, który zabiera się do roboty. Jest to widok szczególny, swojski, innym narodom prawie nieznany, świadczący, że w owem biedactwie tkwi i działa jakaś żywotna siła, jakaś chęć dźwignięcia się na wyżyny, z których los strącił.

W tem dążeniu zdaje nam się, że gdy kogoś lub coś przecenimy, ktoś lub coś za-

chowa ów nadmiar wartości a tym sposobem suma bogactwa narodowego wzrośnie. Ludzi i zdarzeń wielkich życie nasze obficie nie wytwarza, więc stawiamy na piedestałach lub zawieszamy u dzwonów osoby i rzeczy małe, a w każdym razie takie, które z tryumfem oprowadzane i obnoszone być nie powinny, gdyby tego miłość własna dla zadowolenia swych pragnień nie potrzebowała. Po ustach waszych niejednokrotnie przewinął się uśmiech wobec całego szeregu bohaterów, uwiecznianych ołówkiem i piórem w pismach ilustrowanych — bohaterów, których całą zasługą jest np. to, że mają pasieki lub warsztaty przemysłowe, których szczegółowe biografie objaśniają, kiedy się urodzili i co dotąd robili, a wy wcale nie wiedzieliście, że oni żyli. Ten miał zwykłą lekcyę publiczną, tamten urządził tombolę, inny uorganizował orkiestrę, inny na wystawie inwentarza okazał piękne kury — i wszyscy muszą przedefilować przed obliczem narodu jako tryumfatorowie z wawrzynami na skroniach. Niewątpliwie przykra to u nas dola pisma ilustrowanego, które chce być krajowem; wyczerpawszy materyał znakomity, musi ono chwytać każdy wiór, który z bystrym prądem płynie, każdą jednostkę czemkolwiek odznaczoną, musi przeceniać ludzi i wypadki, ażeby zapełnić swoje puste karty. Wyznaję szczerze, iż co najmniej trzecia część dostojników sławy, portretowanych w naszej prasie obrazkowej jest mi całkiem nieznaną; przypuszczam zaś, że nieraz oni sami są zdumieni nieoczekiwanym zaszczytem.

Gazeta rolnicza podała w jednym z ostatnich numerów wizerunek i życiorys p. Ludwika Krasińskiego. Mimo godnego pochwały wysiłku podszrubowania bohatera w górę, nie mogła ona zakryć w swej mozolnej pracy dwu ciągle u nas czynnych pobudek opinii publicznej: czci dla powodzeń materyalnych i chęci sztucznego mnożenia znakomitości. P. Krasiński jest posiadaczem olbrzymiego majątku, człowiekiem czynnym i rozumnym, więc też nic dziwnego, że wytwarza rozmaite przedsiębiorstwa i popiera instytucye użyteczności publicznej. Nie jest wszakże żadnym polskim Montefiorem, ani nawet Staszicem, a jeżeliby dał społeczeństwu rocznie 10,000, dałby mniej stosunkowo do swego majątku, niż np. my z tobą, czytelniku, ofiarowawszy po 5 rs. Ale takiego bogacza niepodobna pozostawić w spokoju bez aureoli. Więc naprzód mianowano go hrabią. Daremnie herbarze mu tego tytułu odmawiają, daremnie on sam go nie używa, daremnie ogłasza, że „Krasińscy „starodawna rodzina,“ jak się wyraża Paprocki, należąc do karmazynowej szlachty, nigdy do magnatów się nie liczyli“ — daremnie, kto ma kilkadziesiąt milionów i nazywa się Krasińskim, hrabią być musi — chce, czy nie chce. Nie pomogą żadne prośby. Temu i owemu mówi się: „dajcie do dyabla raz pokój z tem mojem hrabstwem,“ ale gdy nikt nie słucha, trzeba pokornie przyjąć nominacyę. P. Krasiński ją znosił, aż biografia w *Gazecie rolnczej*, w której nagle ujrzał się „słońcem“ wyprowadziła go z niecierpliwości. Napisał więc do redakcyi tego organu list, bardzo pouczający. „Otworzywszy — powiada — tymi dniami kopertę, w której odbieram dzienniki, *struchlałem* na widok pomieszczonego w *Gazecie rolniczej* mojego oblicza i nazwiska, wielkiemi wydrukowanego literami... Czytam: nie, to nie nekrolog, ale do *nie wiem której potęgi* podniesione *zwykłe obywatelskie czynności*; z dwudziestorzędnej gwiazdeczki naszego maluczkiego firmamentu wytworzone słońce.“ P. K. wypiera się nawet „przeważnej zasługi w utworzeniu Muzeum przemysłu i rolnictwa, kierowaniu warszawskim oddziałem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, wydaniu Encyklopedyi rolniczej itd.“ — słowem, odejmuje swojemu posągowi cały piedestał. *Gazeta* jednak nie na to wystawiła pomnik, ażeby go burzyć, więc oświadcza „hrabiemu“ w przypisku węzłowato: „zgodzi się chyba szanowny autor, że widz jest *zawsze* kompetentniejszym sędzią od występującego aktora.“ Otóż nie „zawsze“ a dowodem obecny wypadek, w którym „występujący aktor“ jest stanowczo „kompetentniejszym sędzią od widza.“ P. Krasiński przedstawił się nam jako człowiek rozumny i trzeźwy, umiejący rozróżniać zasługi wielkie od małych, rzeczywiste od pozornych. Niezawodnie wpadniemy w bieg jego logiki, gdy przypuścimy taki pogląd: „Jestem bogaty, więc zakładam fabryki, które służą moim interesom; jestem bogaty, więc pewien bardzo umiarkowany procent od moich dochodów darowywam społeczeństwu; że ta darowizna bywa większą, niż ofiara biedaka, to wynika z moich środków, a nie z osobistych poświęceń i zasług; za cóż należy mi się korona; czemu „dwudziestorzędna gwiazdeczka“ ma udawać „słońce?“ Dowodzenie nietylko słuszne, ale wskazujące opinii drogę w sądzeniu ludzi. P. Krasiński zdaje się mówić do swych wielbicieli: „olśniewa was mój złoty cielec, tak było zawsze, ale nie zdurzycie mnie, że nie on, ale ja was zachwycam; szukajcie zasług tam, gdzie one są; męztwo rycerza nie mierzy się kosztownością jego szabli.“

Takie przestrogi, o ile pochodzą ze strony „pozytywistów,“ nie wywierają żadnego skutku, ale o ile spłyną czasem od bieguna przeciwległego, ze źródeł nieposądzonych o stronność— oddziaływają na opinię naszą umoralniająco. W społeczeństwie słabem, niedojrzałem, goniącem śród ciemności za lada ognikiem, za iskierką świętojańskiego robaczka usprawiedliwioną psychologicznie jest przesada ocen ludzi i rzeczy: znakomity aktor będzie zawsze dla nas genialnym kapłanem sztuki, zdolny popularyzator wiedzy — głębokim myślicielem i uczonym, ruchliwy przemysłowiec — wielkim obywatelem, ale ten popęd hamować należy zwłaszcza tam, gdzie on sprowadza zamęt pojęć moralnych, gdzie utożsamia dobrą wolę z dużą gotówką a procentowanie kapitałów bierze za działalność filantropijną.

Oto zmarł w Warszawie człowiek, który rzeczywiście zasłużył na to, ażeby go za wzór innym postawić. Skromny, pracowity i do ostatniej chwili pracujący nauczyciel muzyki wszystkie od niezbędnych potrzeb oszczędzone zarobki poświęcał na powiększanie swych zbiorów artystycznych a zwłaszcza galeryi obrazów, w której znalazł się powoli każdy znakomity pędzel polski i którą darował ogółowi. Szlachetna to była namiętność i szlachetny użytek z jej wysileń. Zeszedł też do grobu Feliks Gebethner pożegnany szeroką sympatyą. O ile naród ma duszę, tkwi ona w takich jednostkach idealnymi celami żyjących.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Groźny jastrząb w sidłach. — Świadkowie w szafach i na półkach. — Co można zrobić z gruntów jałowych. — Królestwo lichwy. — Projekt *Gaz. lubelskiej.* — Wystawa koni włościańskich w Lublinie. — Oszczędność źle wyrachowana. — Brak siły moralnej. — Obrońca honoru. — Cisi bohaterowie. — Dobroć hrabiowska. — Towarzystwo lekarskie w Mińsku. — Ustawa etyczna. — Domy zdrowia dla nieuleczalnych obłąkanych.

W Lublinie na ławie oskarżonych zasiadł głośny lichwiarz, Jankiel Tenenwurcel. Przebieg sprawy sądowej wykrył wiele ciekawych szczegółów z jego życia. Zaliczyć go nie można do miernych Szmulów, Moszków i Berków; talentem swoim wzbił się wysoko ponad poziom współbraci. W młodzieńczych latach jeszcze nie zdradzał wielkich zdolności, był sobie skromnym „Janklem.“ Pierwszą działalność rozpoczął od kontrabandy i utarczek z przepisami akcyzy, za co wytoczono mu kilkanaście spraw. Zdobywszy się na 2.000 rs., ofiarował swoje usługi ziemianom, biorąc od nich po 70 do 90%, następnie wywłaszczał z mienia. Tym sposobem w ciągu dwudziestu kilku lat stał się posiadaczem 200,000 rs. Zgubiły go nożyce, gdyż za często odcinał marginesy od rewersów, gdzie była znaczona zapłata procentu. Wyrokiem sądu okręgowego w Lublinie uznany został za winnego oszustwa w celu zysku, oraz skazany na pozbawienie szczególnych praw i przywilejów, tudzież zamknięcie w więzieniu przez rok i cztery miesiące. Sprawa wskutek apelacyi przeniesioną będzie do Izby sądowej warszawskiej. Lichwiarza bronił p. J. N. Kamiński. Zgasły lśniące słowa wobec ciemnej chmury takich np. faktów: pp. Chudziccy za 400 rs. pożyczonych oddali Tenenwurclowi majątek wartości 3,000 rs. Obywatel Bobrowski przed kilku laty posiadał znaczne mienie, dziś jest nędzarzem przybitym i schorowanym. Ludzie ci stawali w sądzie jako świadkowie. Oszust prócz wydzierania ludziom gruntu z pod nóg, wywierał jeszcze na nich wpływ moralny. Szlachcic zapomina o honorze i sumieniu, staje się wspólnikiem nikczemnych kombinacyj i w ten sposob dla wrzekomej własnej korzyści zasłania niegodziwca. P. Sierakowski robi z nim pozorny kontrakt na sprzedaż zboża; była to zwyczajna pożyczka z pobieranym procentem, jak śledztwo wykryło. Dłużnik sam fatalnie się wplątał, bo dokument rozcięty zmuszał go do podwójnego zapłacenia należności. Pan Jankiel taki spryt posiadał, że musiano go sidłać za pomocą świadków ukrytych w szafie. Ironia! W ten tylko sposób sprawiedliwość na światło się wydostaje. Skoro niema innej drogi, środki te są dziś zbawienne i już, dzięki przykładowi ze sprawy powyższej, znajdują pomyślne zastosowanie. *Gazeta lubelska* opowiada o takiem zdarzeniu. Pan X. pożyczył od lichwiarza kilkaset rubli i jako handlujący wystawił odpowiedni weksel. Nie mogąc na termin długu spłacić, napisał nowy rewers. Wierzyciel upewniał, iż dawniejszy przez zapomnienie zostawił w domu, że zaraz odniesie. Łatwowierny oddał drugi dokument, a w kilka dni zamiast pierwszego, otrzymał pozew na sumę poprzednią. Jedyna była droga wejść w układy z wierzycielem. Zaprosił więc go do sklepu, ale przezorny uczeń Tenenwurcla nie chciał rozmowy wszcząć o interesie bez naocznego przekonania się, czy za szafami lub pod kontuarem nie jest kto ukryty. Gdy żądaniu jego stało się zadość, jął mówić poufnie o swoim podstępie. Naraz poczęły z półek spadać pudełka z papierosami, a potem ukazały się dwie głowy ukrytych świadków po za deską oderwaną. Lichwiarz struchlał i żebrać musi łaski u dłużnika.

Oprócz powyższych drapieżnych potworów szlachta lubelska w niektórych miejscowościach posiada niebezpiecznego wroga we własnej niezaradności, związanej po części z naturą gruntu: We wsi Polanówce, pow. nowoaleksandryjskim, ziemia orna tak mokra i nizka, iż kłos na niej bujny zupełnie jest pozbawiony nowych ziarn. Wszelkie środki użyznienia bezowocne. Jeden z właścicieli tego majątku wyłożył na to 130,000 rs., co zamiast korzyści, spowodowało jego bankructwo. Obecny posiadacz tych gruntów zamienił je prawie wszystkie na łąki małym kosztem i dziś sprząta corocznie 20—30,000 centnarów siana, które sprzedaje wojskom w sąsiednich miasteczkach, a na targach warszawskich ma odbyt hurtowny. Brak sprytu ziemian oddziaływa na systematyczne podwyższanie stopy procentowej przez kapitalistów, którzy to robią dla większej „pewności“ sum „zaryzykowanych.“ Wzrost odsetków daje cięgi i mniejszym posiadaczom rolnym. Z tego powodu *Gaz. lubelska* podaje projekt utworzenia kas pożyczkowych wspólnemi siłami przez włościan i mieszczan z osad. Ziemia lubel-

ska musiałaby długo walczyć za pomocą takich instytucyj z silnym wrogiem — lichwą, a czy wyszłaby zupełnie zwycięzko? Trzeba byłoby zrzucić wprzódy z karku wiele innych ciężarów, krępujących swobodę ruchu i oddychania...

Na tle ogólnego niepowodzenia różnorodnych uprawiaczy roli, mile zarysowuje się wystawa koni włościańskich w Lublinie; świadczy ona, iż lud okoliczny posiada sporo ładnych, rosłych i silnych rumaków, których nie powstydziłyby się i „pańskie“ powozy. W porównaniu z latami poprzedniemi ta dostarczyła więcej okazów, dzięki temu, iż corocznie w jednej porze do kilku stacyj nadsyłane są reproduktory ze stadniny rządowej w Janowie. Nadto właściciele ziemscy, posiadający dobre okazy, przyczyniają się do polepszenia rasy koni włościańskich, jedni bezinteresownie, drudzy — za przystępną cenę i odrobek. Rzecz szczególna, iż o wystawie mało kto z lublinian wiedział. Organ miejscowy zapewnia, że przyczyną tego była oszczędność w ogłoszeniach. Dalsze wsie przyjęłyby też udział, ale tam nie doszły wieści o istnieniu wystawy. Z tego powodu *Gaz. lubelska* radzi nadać większy rozgłos i wynaleźć sposoby przynęty: urządzenie miejsc wygodnych dla publiczności, wyścigi, mierzenie siły koni, rozdawanie nagród w sposób uroczystszy niż dotąd, zapraszanie do komitetu sędziów obywateli, znawców itd. Lekceważenie i obojętność ogółu w tym razie zasługuje na wielką naganę. Spieszymy tłumnie na Mokotów nawet z prowincyi podziwiać wielkopańskie drogocenne wyścigowce, dżokejów i masztalerzy cudzoziemców, o policzkach tak wydętych, jakby byli władcami całego świata. Przepych i głupstwo zawsze ma widzów z ustami szeroko rozwartemi. Gdzie nie pociągają te dwa czynniki, tam trzeba użyć kuglarstwa. Jeśliby to dało się zastosować do wystawy koni włościańskich, hodowla ich szersza, wypływająca z zachęty, mogłaby znacznie poprawić byt ludu, którego gospodarka potrzebuje wiele ulepszeń gwałtownych. Pomijam inwentarz i uprawę roli. Najbardziej cierpi las gromadzki. Chłop, skoro stanie się posiadaczem kilkunastu setek drzew, nie ogląda się na przyszłość, tnie wszystko i wozi do miasta na sprzedaż lub oddaje żydom do ostatniego patyka. Chęć łatwego zarobku jest pokusą nieprzezwyciężoną, aż nareszcie z lasu mogącego na lata całe wystarczyć, pnie same zostają. Inny przezorniejszy, z obawy, aby mu sąsiad po wyczerpaniu własnych zapasów nie zrobił spustoszenia, idzie ostatecznie w jego ślady. Nie wpływa to dodatnio na ogólną gospodarkę. *Gaz. lubelska* słusznie utrzymuje, iż las nadany dla całej wsi powinien być własnością gromady. Ta z pośród siebie niechby wybierała kilku uczciwych i rozsądniejszych rządców z gajowym na koszt gromady. Zarząd taki wydawałby kwit na potrzebne drzewo, nowe budynki i poprawki starych. Na opał powinien być brany tylko susz, leżanina i wierzchołki. Łatwo projektować. Na tej zalecie nigdy nam nie zbywało. Lecz kto zna naturę chłopa, ten pomimowoli zwątpi, czy taki pomysł dałby się bez wielkich trudów urzeczywistnić. Do tego trzeba wpływu inteligencyi, działającego nieprzerwanym prądem. Ze strony zaś „biernej“ bezwzględnego zaufania do „wyższych umysłowo.“ Gdzie jedno i drugie? Szlachta! Jakże ona prawić będzie o oszczędności lasu, kiedy sama u siebie jest wrogim jego tępicielem? Przewaga moralna chyba tem się zaznacza: „chłop po to stworzony, aby służył nam, mającym szlachetniejsze porywy. Takie już wyroki Boże; łamać ich nie wolno.“ Dziś jeszcze nieraz można posłyszeć powyższe zdanie. Ci nawet, co podtrzymują częste stosunki z ogniskiem myśli — Warszawą, wypowiadają jeszcze ciekawsze poglądy. Przed kilku tygodniami słyszałem dwóch obywateli, rozprawiających o poszanowaniu honoru: „Kraszewskiemu nie podałbym ręki, bo się splamił Magdeburgiem.“ Za rok i cztery miesiące ten sam obrońca czci szlacheckiej uściśnie dłoń Tenenwurclowi... Inny, pod wielu względami zasługujący na szacunek, podziwiał z przerażeniem moją odwagę pisania o północy artykułów do *Prawdy*. „I pana dyabeł nie napastuje?!...“ Naturalnie, iż takie okazy są wyjątkowe. Większość zdradza dobre chęci, czasem wypowiada zasady demokratyczne, lecz w czynie naśladuje swych przodków. Nie szukajmy więc tam pomocy dla ludu. Od czasu do czasu objawia się ona, lecz ze skromnej sfery bakalarskiej. P. Wanda Nowińska, z Popowic, w gminie Kamionka, napisała ciekawy list do *Zorzy*. Nauczycielką jest tam rok zaledwie. Dziesięć lat krwawej i gorzkiej pracy w innych miejscach puściła w zapomnienie, bo włościanie popowiccy wynagrodzili poprzednie jej trudy bezowocne. Przez całą zimę wysyłali regularnie swe dzieci do szkoły, a i teraz, pomimo zwiększonej pracy około roli, nie odrywają ich od nauki. W śnieżyce i mrozy, gdy inne szkoły świeciły pustkami, popowicka zawsze była pełną. Z rozpoczęciem robót polnych, chłopcy spracowani za pługiem i broną, zamiast odpocząć, zabierają książeczki i spieszą do nauki. W niedziele i święta, po powrocie z kościoła, odległego o trzy wiorsty, ledwie coś zjedzą w domu i znowu z własnego popędu ruszają do szkoły. Pokrewny jej duchem, chociaż na łatwiejszem nieco polu działania, Złowodzki, profesor gimnazyum w Płocku, zmarły niedawno. Był prawdziwym przyjacielem młodzieży. Nieraz sobie od ust odejmował, by głodniejszego nakarmić. Po śmierci pozostawił 3,000 rs., rozpożyczonych drobnemi sumkami dawniejszym swoim uczniom, obecnie kształcącym się na uniwersytetach. Od dłużników żądał tylko, iżby w miarę możności przekazywali należność kolegom bardzo ubogim. Cześć należy oddać pamięci zacnego człowieka.

Dobroć ludzi borykających się w mozolnym trudzie z troskami życia, nie świeci rozgłosem, często idzie w zapomnienie z zamknięciem deski grobowej. Za to gdy błyśnie promień łaski pańskiej z pod mitry hrabiowskiej, będzie długo jaśniał nad głowami udobrodziejstwowanych. Do takich należy czyn hr. Jana Zamoyskiego, dziedzica dóbr Maciejowice w pow. garwolińskim. Powstała tam przed kilku laty szkoła dla młodzieży wiejskiej z bezpłatną nauką stolarstwa, kowalstwa, kołodziejstwa i t. d. Zwierzchność naczelna gub. siedleckiej w sprawozdaniu rocznem powiada, iż w całej gminie „dzięki pomienionej szkole zauważyć można śród włościan już teraz wzrastający dobrobyt i moralność.“ Uczucia moralne poczynają silnie kiełkować i w łonie Towarzystwa lekarskiego w Mińsku Litewskim. Ciągły napływ doktorów do miasta wytworzył wielką konkurencyę, do tego stopnia, iż współubieganie się o chorych odbywa się za pośrednictwem faktorów. To skłoniło ród Eskulapa do opracowania ustawy tetyczne na wzór warszawskiej, ze zmianami stosownemi do warunków miejscowych. Charakterystyczne, iż komisya, obradująca nad tem, składa się z dwóch żydów i jednego rosyanina, chociaż stowarzyszenie z 76 członków zawiera poważną liczbę polaków. Nie wszyscy lekarze uważali za stosowne połączyć się w jedno ciało; wolą występować „samodzielnie.“ Do grona większości weszły dwie kobiety. Członkowie opłacają pięć rubli rocznie. Wybitna cecha nasza, brak jedności we wszystkiem, odbija się nawet w kole inteligentnych ludzi z szerszymi przecież poglądami na stosunki społeczne. Przed rokiem Towarzystwo rozesłało odezwy do wszystkich lekarzy w Mińsku z prośbą o doniesienie w pewnych odstępach czasu o liczbie chorych każnych. *Dwóch tylko* odpowiedziało! Pod innymi względami starania kończą się pomyślniejszym rezultatem. Biblioteka w ciągu roku ubiegłego pozyskała 65 nowych specyalnych wydawnictw. Ogółem liczy 1,833 dzieł. Prócz tego przychodzi dziesięć pism lekarskich. Wiele pięknych projektów nie może się urzeczywistnić z powodu szczupłych funduszów. Najbardziej stowarzyszonym ciąży na sercu hygiena i warunki sanitarne miasta. Czy zgoda i cierpliwość dotrwa do chwili, kiedy ów ciężar można będzie zrzucić swobodnie?..

Młodzi lekarze w Królestwie nie są obojętni na potrzeby publiczne. Ci, którzy posiadają własne kapitały, zamierzają urządzić na prowincyi w kilku miejscach domy zdrowia dla nieuleczalnych obłąkanych. Pod względem opłaty będą dwie kategorye pensyonarzów, prócz tego 5% znajdzie przytułek bezpłatnie. Zakładami tymi uszczęśliwione zostaną strony Opatowskie, Sieradzkie i Hrubieszowskie. Oby projekt nie ugrzązł na jakiej mieliźnie!..

Drogomir.

ZE WSCHODU.

Włodzimierz Korolenko, nowy beletrystyk rosyjski. — Broszury i odczyty z powodu 50-ej rocznicy śmierci Puszkina. — Niedźwiedzia usługa p. Salnikowa. — Rok jubileuszów. — Połonski. — Gruber. — Szczerby w sztuce rosyjskiej. — Kramskoj. — Samojłow.

W bieżącej dobie literatury powszechnej, beletrystyka wielką powodzią świat zalewa. Chcąc stanąć na takiej wyżynie, iżby ogół zauważył, trzeba posiąść artyzm plastyczny i stylowy, albo wynaleźć tak oryginalny temat, jakiego nikt jeszcze nie potrącił. Przystrajanie wytartej osnowy efektami nic na już powodzenia. To też wybitniejsi powieściopisarze i noweliści dzisiejsi posiadają cechy powyższe. Tacy będą żyć długo. Przeważna większość tonie zapomniana w odcinkach dzienników. Żyjemy w epoce epigonów, jak powiada p. Arseniew, publicysta rosyjski. Nie znaczy to wszakże, iżbyśmy nie mieli doczekać nowego świtu. Lecz w danej chwili dogasają ostatnie promienie zorzy wieczornej. Na wschodzie ciemno i nie trzeba się dziwić, jeśli w tej ciemności próbuje kto zapalić sztuczne światło, posiłkując się w części materyałem z wielkiego ogniska — nowego realizmu we Francyi.

Literatura rosyjska pozyskała świeżo nowy talent samodzielny, który odrazu stanął na czele beletrystów współczesnych. Jest to Włodzimierz Korolenko. Większość tła jego utworów i nazwisko zdradzają pochodzenie małoruskie. W szkicach i opowiadaniach występują bardzo często bohaterowie polacy w sympatycznem oświetleniu. Największa nowela „*Ślepy muzykant*“, to głębokie studyum psychologiczne. Rzecz się dzieje na Ukrainie w domu szlacheckim Popielskich.

Autor stwarza świat nieznany dla ludzi obdarzonych wszystkimi zmysłami. Zobaczmy, jak mały Piotruś, ślepy od urodzenia, starał się wyobrażać otaczającą go naturę. Gdy go przyprowadzono na skałę, wsłuchiwał się z zajęciem w cichy plusk rzeki u dołu. Z trwogą chwytał za suknię matki na odgłos staczających się kamieni z pod nóg jego. Odtąd głębinę przedstawiał sobie w postaci cichego szmeru wody lub trwożliwego szelestu spadających w dół kamyków. Dał dźwięczała w jego uszach konającą pieśnią. Gdy po niebie przebiegał grom wiosenny, w umyśle malca rodziło się pojęcie o rozmiarach przestworów podniebnych. Obok spostrzeżeń psychologicznych utwory Korolenki posiadają dużo poezyi. Piękna jest scena, budzącego się zamiłowania do muzyki w malcu kilkoletnim. Jochim, stangret Piaseckich, zgnę-

biony zdradą ukochanej, chcąc żal ukoić, grywał o zmroku w stajni na fujarce z wierzby ukraińskiej. Pewnego razu w największym zapale poczuł jakieś delikatne palce, przebiegające szybko po twarzy: „*Cur tobi, pek tobi!*“ — zawołał przerażony, myśląc, że ma do czynienia z nadprzyrodzoną jakąś siłą. Był to Piotruś, który do snu ułożony, wstał i przybiegł tam, skąd tajemnicze dźwięki go dochodziły. Odtąd przesiadywał po kilka godzin dziennie przy Jochimie.

Wielką poezyą i znajomością natury odznacza się obrazek „Las szumi.“ Autor umie wsłuchiwać się w rozmowę drzew i odtwarzać ją artystycznie. Oryginalny w temacie stokrotnie opisywanym przez innych. Utwory jego można podzielić na dwa rodzaje: ukraińskie i syberyjskie. W pierwszym jest bezpośrednim spostrzegaczem, w ostatnich pomaga sobie fantazyą, ale tak świetnie, jakby głęboki Wschód był drugą jego ojczyzną. Pyszne typy włóczęgów i przestępców w „Sokolińcach.“ W spokojnych na pozór opowiadaniach skazańców malują się męczarnie moralne: „Jam nie widział dobrego w swem życiu i teraz nie widzę — mówi bohater obrazka — było ono tylko do osiemnastego roku, pókim rodziców słuchał; przestałem słuchać — skończyło się życie... Niema snu okropniejszego nad ten, gdy się przyśnią ojciec i matka. Zdaje się, że nic ze mną nie było, ani więzienia, ani wyspy Sokolińskiej. Leżę niby to w domu, matka włosy mi zaczesuje. Świeca na stole, a przy nim ojciec w okularach książkę starą czyta. A matka piosnkę śpiewa. Przebudziłem się od snu tego, a w sercu jakby nóż. Zamiast izby rodzicielskiej głucha ścieżka śród *tajgi*.“ Starzec Buran, pomimo długich lat włóczęgostwa, tęskni ku stronom rodzinnym. Przed śmiercią woła: „Ot, całe życie z Sybiru do *Rosiei* *) człowiek się rwał, a teraz żeby choć na sybirskiej ziemi umrzeć, a nie na tej wyspie przeklętej.“ Tak małe wymaganie! Omyliłby się, ktoby chciał dopatrzeć tendencyi w obrazkach Korolenki. Powoduje się często sercem; malując ludzkie cierpienia, nie miota się na ich sprawców. Ujemnie czasem wpływają na stronę artystyczną uwagi osobiste. Jaszka-bohater (*Oddział śledczy*), przedstawiony sympatycznie, a jednak dzikie jego zasady wypowiedziane są w taki sposób przez autora, że nie wczytawszy się, możnaby go posądzić o hołdowanie tym przekonaniom. Tak przecież nie jest. Sympatyzuje tylko z „zaprzedaniem się“ idei, posuniętem aż do cierpień niezasłużonych. Ulubionym tematem młodego pisarza jest życie uciskanych i nędzarzy. Poetyczne obrazy przeplatane są scenami prawdziwego realizmu, np. w *Złem społeczeństwie* opis dwóch słabych mizernych istot, Marysi i Walka, mieszkańców podziemia.

Korolenko zabłysnął prawie nagle i odrazu pozyskał wielkie uznanie w swojem społeczeństwie, dowodem tego zupełne wyczerpanie w handlu księgarskim pierwszego wydania jego utworów w trzy miesiące po wyjściu z pod prasy.

Z powodu 50-ej rocznicy śmierci Puszkina, pojawiło się mnóstwo odczytów, broszurek, artykułów, przeważnie w formie lużnej, powierzchownej. W Odessie na uroczystem zebraniu w sali uniwersytetu Noworosyjskiego profesor Kirpicznikow odczytał traktat i wydał następnie w oddzielnej broszurce p. t. *Puszkin, jako poeta europejski*. Oprócz wielkiej mocy ogólników, nic ciekawego, ani nowego tam niema, chyba to, że gubernia Pskowska jest sednem Wielkorosyi (!)... Prof. Niezielonow w uniwersytecie petersburskim również zawiódł słuchaczów, a następnie czytelników. *Puszkin w swoich wyrzeczeniach i charakterystykach*. Autor powybierał z utworów poety zdania urywane, które mają stanowić znamienny sąd o kraju i ludziach, np. Richelieu — to Alcybiades najnowszych Aten; Glinka — Arystydes! Chemnicer — prawdę z uśmiechem mówił(!). Upadek Moskwy jest nieuniknionem następstwem wzrostu Petersburga itd. Wreszcie najniemiłosierniej obszedł się z poetą p. Malcew, wydając *zupełny* zbiór pism. Przedsiębiorca opatrzył własnemi uwagami książkę, kładąc nacisk na to, iż *wszystkie* utwory są zebrane, pominięta tylko druga część buntu Pugaczowskiego, która składa się wyłącznie z *materyalnych* (?) szczegółów. Nie umieszczone też sprawy Kamczackie, tudzież materyały z czasów Piotra Wielkiego, gdyż te *bezwarunkowo* są zbyteczne i nie budzą najmniejszego interesu (!).

Rosya doczekała się roku jubileuszów. Po uroczystości Puszkinowskiej przyszła kolej na Polońskiego. W d. 22 kwietnia r. b. obchodzono 50-tą rocznicę jego pracy literackiej. Jest to poeta-liryk, o którym Turgieniew wyraził się, iż łączy w sobie wdzięczną prostotę ze swobodną obrazowością języka, jaśniejącego blaskiem artyzmu Puszkina. Jakkolwiek nie milknie jeszcze w dzisiejszym chórze literatury i nieraz tworzy pod wrażeniem chwili, wszakże ze względu na barwę myśli, można go zaliczyć do epoki minionej. Cechą jego poezyi, jak utrzymuje p. Strachow, jest—służenie pięknu i dobru, miłość ku oświacie i swobodzie, nienawiść do wszelkich gwałtów i mroków. Poloński urodził się r. 1820 w Razaniu, gdzie skończył gimnazyum, następnie wstąpił na wydział prawny w uniwersytecie moskiewskim, uczęszczał przytem na inne wydziały. W r. 1844 ukończył studya naukowe i jednocześnie wydał pierwszy zbiór swoich utworów p. t. *Gamy*. Nie posiadając środków materyalnych, gonił po kraju za chlebem. W Odessie puścił w świat drugą seryę swych prac. W Tyflisie otrzymał miejsce pomocnika redaktora *Wiestnika Zakaukazkiego*. Tam pracował dużo i wydał poezye w r. 1849 p. t. *Pieśniarz*. W r. 1851 pojawiło się nowe wydanie. Dla nowootwartego teatru w Tyflisie napisał pięcioaktowy dramat historyczny wierszem p. t. *Daredżana Imperetyńska*. O wystawienie poczynił starania w Petersburgu za protekcyą hr. Woroncowa, wszakże bez skutku. Pozwolono wydrukować tylko wyjątki w *Moskwiczaninie*. Porzuciwszy Kaukaz, udał się do Petersburga, gdzie przez czas pewien utrzymywał się z lekcyi i utworów drukowanych w gazetach. Pisał też dużo prozą. Praca i moralne cierpienia rozstroiły zdrowie; musiał się ratować w kąpielach zagranicznych. Część roku 1856 spędził w Warszawie. Później w Petersburgu został redaktorem *Ruskiego Słowa*. Tam sobie ostatecznie sławę zdobył. Opuściwszy redakcyę, otrzymał w r. 1861 miejsce sekretarza komitetu cenzury zagranicznej.

W kilka dni po jubileuszu Polońskiego, Akademia wojenno-medyczna w Petersburgu obchodziła takąż uroczystość 40-letniej nieprzerwanej pracy Wacława Grubera, profesora anatomii praktycznej, który z pochodzenia jest niemcem czeskim. Zaprojektowano utworzenie stypendyum jego imienia.

Sztuka rosyjska w ostatnich czasach poniosła straty. Kramskoj w sile wieku, bo zaledwie w 50 roku życia umarł na anewryzm. Skończył akademię sztuk pięknych w Petersburgu z małym złotym medalem. Był przeważnie bardzo zdolnym portrecistą. Z obrazów jego rodzajowych wybitniejsze: *Noc majowa*, *Chrystus na pustyni*.

Samojłow, po pięćdziesięciu latach zdobienia sceny rosyjskiej, przestał żyć. Był znakomitym wykonawcą Hamleta i Króla Leara. Prócz tego odznaczał się zdolnościami, jako rysownik. Każdą swoją rolę sam uwieczniał w albumie, którego kilka tomów pozostawił. Obrazy jego bywały na wystawach.

Zenon Pietkiewicz.

*) *Rosieja* u gminu znaczy Rosya.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Opera komiczna w Paryżu uległa temu samemu losowi, co niegdyś Ringtheater w Wiedniu. Podczas przedstawienia wybuchł pożar; przerażona publiczność zaczęła się tłoczyć i dusić, skutkiem czego liczba ofiar dotąd nie oznaczona, a sięgająca paruset osób była większą, niż gdyby zdołano popłoch opanować.

Urzędnicy kantoru Banku państwa w Warszawie, którzy nie okazali dostatecznej znajomości buhalteryi, mają wyznaczone trzy miesiące na przygotowanie się do powtórnego egzaminu.

Projekt podwyższenia opłaty stemplowej z 60 do 80 i z 10 do 15 kop. rada państwa przyjęła. Kwestya stemplowania próśb przesyłanych przez osoby prywatne do instytucyj rządowych w formie depesz telegraficznych również rozstrzygnięta twierdząco. Obie uchwały wejdą w życie z d. 1 lipca r. b.

Trzynaście kas zaliczkowych z rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych otwarto dla włościan w gub. siedleckiej.

Wyprawa. Generał-gubernator Syberyi wschodniej, hr. Ignatiew, urządził wyprawę do Mongolii, która miała wyruszyć w końcu maja r. b. z Irkucka i zabawić około pół roku w sąsiadujących z Syberyą prowincyach mongolskich. Ekspedycya składa się z wojskowych i astronomów pod wodzą półkownika sztabu generalnego Bobyrja. Celem jej zdjęcie planu topograficznego gór Sajańskich, okolic jeziora Kosogoty i górnego biegu rzeki Jeniseju.

W Charkowie w nocy z d. 19 na 20 maja zgorzał gmach należący do uniwersytetu. Ucierpiała znacznie biblioteka publiczna, księgarnia i zakład optyczny. Straty wynoszą 200,000 rs.

Nowa kopalnia. Za jeziorem Bajkałem o 600 wiorst od Irkucka odkryto kopalnię złota.

Termo-telefon. Technik warszawski, p. Pajerski wynalazł nowy przyrząd do przenoszenia głosu, działający na 3,500 wiorst.

Fotografie nowego systemu, wykonywane pod firmą „Antoniny,“ w Paryżu mają ogromne powodzenie. Naśladują do złudzenia ręczny rysunek kredowy, odznaczają się pięknem wykończeniem i wielką trwałością. Są one dziełem polaka, p. Pietkiewicza, poprzednio kierownika zakładu fotograficznego „Walery“ w Paryżu.

Przemysł. Ostatnie sprawozdanie o przemyśle fabrycznym w gub. warszawskiej, bez Warszawy, zaznacza wzrost produkcyi prawie we wszystkich działach. Jednocześnie ilość robotników zmniejszyła się o 1,291.

Handel. P. Antoni Rawecki, agent handlowy, wysłany staraniem Tow. popierania przemysłu i handlu do Rumunii, utrzymuje, iż wiele gałęzi naszego przemysłu znalazłoby tam stały odbyt i powodzenie. Spółzawodniczyć mogą z zagranicznymi grzebienie rogowe z fabryki L. Krasińskiego, perfumy, tudzież rozmaite wyroby skórzane i galanteryjne.

P. Cypryan Godebski w Paryżu wystawił popiersie Kraszewskiego, odznaczające się niezwykłem podobieństwem i zaletami artystycznemi.

Burze gradowe i ulewy zrządziły wielkie spustoszenia w Saksonii. Ze wszystkich stron donoszą o ofiarach w ludziach. W Wittgensdorf utonęło osiem osób. Pod Hirschfelde zapadł się most kolejowy. Pod Warszawą grad zrządził znowu znaczne szkody.

Zarządy kolejowe zabroniły kasyerom przyjmowania opłaty, przypadającej od interesantów, w walucie zagranicznej, z wyjątkiem, jeżeli ta wyraźnie przekazaną była do pobierania i przypada według taryfy.

Wielkie powodzie nawiedziły Węgry w okolicach Temeszwaru i Aradu. Liczne gminy stoją pod wodą. Pola i lasy zalane; wezbrane rzeki zniszyły wiele mo-

stów i grobli. Komunikacya kolejowa w kilku miejscach przerwana. Ulewny deszcz pada nieustannie.

Obfite śniegi spadły w Alpach koryntckich. Termometr poniżej zera.

Służba leśna w gub. wołyńskiej pochodzenia zagranicznego otrzymała rozkaz opuszczenia zajmowanych posad w ciągu dwóch tygodni. Właściciele ziemscy zobowiązani zostali do nieprzyjmowania cudzoziemców na żadne posady w lasach, nawet tymczasowe.

Pożary wielkie pustoszą lasy w Michiganie. Szkody dotąd wynoszą 3 miliony dolarów.

Zaćmienie słońca. Ministeryum spraw wewnętrznych rozesłało gubernatorom broszurę o zaćmieniu słonecznem, mającem nastąpić 19 sierpnia r. b. Książeczka ta przedrukowaną będzie w miejscowych wiadomościach gubernialnych, niezależnie od innych środków rozpowszechniania wiadomości o tem zjawisku.

P. Tytus Babczyński, profesor wydziału matematycznego w uniwersytecie warszawskim, po 25 latach profesury, został przebalotowany większością 32 głosów na 18, skutkiem czego stanowisko zajmowane opuszcza.

Bibliografia polska. A. Strzałecki i H. Kotłubaj: *Encyklopedya rolnicza* i rolniczo-przemysłowa, zeszyt I. A-B.

— W. Nałkowski: *Wschodnia granica Europy*. Warszawa.

Konkurs imienia Józefa Brandta rozstrzygnięto. Pierwszą nagrodę rs. 600 otrzymał malarz Konstanty Mańkowski za obraz „Cud św. Piotra."

Reforma gimnazyów. *Odesskij Listok* donosi, iż ministeryum wychowania publicznego opracowuje projekt reformy gimnazyów filologicznych w tym duchu, iżby ograniczyć wykład języków starożytnych, a natomiast rozszerzyć zakres matematyki, fizyki i wprowadzić nauki przyrodnicze. Opłata za naukę ma być tak podwyższoną, ażeby tylko synowie rodzin zamożnych mogli się kształcić. *Gaz. warsz.* prywatnie dowiaduje się, iż podobno tylko młodzieńcy pochodzenia szlacheckiego będą mieli wstęp do szkół zreformowanych.

Ministeryum dóbr państwa opracowuje nowe przepisy wydzierżawiania lasów skarbowych. Przywilej dzierżawienia posiadają tylko firmy rosyjskie.

Maszyna do rachowania. Jeden z warszawskich mechaników wynalazł maszynę do sumowania cyfr. Przyrząd składa się z blaszanego pudła, którego powierzchnia posiada otwory ukazujące cyfry zmieniane automatycznie. Na boku pudła znajduje się szereg liczb porządkowych, poruszanych stosownie do potrzeby oddzielnie przy pomocy sztyfta.

Muzeum pszczelnicze w Warszawie liczy 70 uczniów i uczenic (40 kobiet i 30 mężczyzn).

Na Kujawach kilku przemysłowców zajęło się przesyłką solonej wieprzowiny do Anglii.

OFIARY.

Dla studenta wydziału prawnego uniwersytetu warszawskiego. Bezimienny rs. 50.

Dla studenta weterynaryi z cesarstwa. Bezimienny rs. 50.

Do rozporządzenia Redakcyi. U. D. N. rs. 20.

Ogłoszenia.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości pp. artystów malarzy, rzeźbiarzy i budowniczych, iż w m. *styczniu* 1888 r. urządzoną będzie przez Towarzystwo doroczna czasowa *Wystawa konkursowa*, na którą kwalifikować się będą do przyjęcia: z *malarstwa* obrazy olejne, akwarele, pastele, kartony i rysunki; z *rzeźby*: wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, bez względu na materyał, tudzież wyroby medalierskie; z *architektury*: wszelkiego rodzaju kompozycye w zakres jej wchodzące, w planach lub modelach. Nie kwalifikują się do przyjęcia: a) wszelkie kopie; b) dzieła artystów zmarłych na rok przed otwarciem Wystawy. Każdy z pp. wystawców ma prawo wystawiać jednocześnie dwa swoje dzieła. Za jedno dzieło uważane będą rysunki, ujęte w jedną ramę. Dzieła dla działu malarstwa mają być w ramach. Na wystawę przyjmują się dzieła wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, które poprzednio nie znajdowały się czy to na Wystawie Towarzystwa, czy na innej w Warszawie. Przyjmowanie dzieł na Wystawę konkursową trwać będzie od 15 do 31 grudnia r. b. włącznie do godz. 6 wieczorem; zaś deklaracye z wypisaniem treści dzieła, ceny, adresu autora i krótkiej biografii (kiedy i gdzie się urodził i kształcił w sztuce), winny być nadesłane do Komitetu Towarzystwa przed 15 grudnia. Wystawa trwać będzie od 15 stycznia do końca lutego i przed upływem tego czasu dzieło przyjęte nie może być z niej wycofane. Nagroda za dzieła bezwarunkowo odznaczające się: w oddziałach *malarstwa* i *rzeźby* — większe po rs. 150, mniejsze po rs. 50 w złocie; w oddziale *architektury* większa rs. 300, mniejsza rs. 150 w złocie. Bliższe objaśnienia w Kancelaryi Towarzystwa.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Мая 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.